WITOŁD DUNIN - BORKOWSKI.

STOSUNKI RODZINNE

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „DZIENNIKA LITERACKIEGO".

1870

STOSUNKI RODZINNE.

Komedja w pięciu aktach, grana po raz pierwszy na scenie polskiej

we Lwowie dnia 29 Stycznia 1868.

STOSUNKI RODZINNE

KOMEDJA W PIĘCIU AKTACH.

ORYGINALNIE NAPISANA

PRZEZ

WITOŁDA DUNINA-BORKOWSKIEGO.

WE LWOWIE.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „DZIENNIKA LITERACKIEGO".

W DRUKARNI E. WINIARZA.

1870.

OSOBY:

Książę Modzerski	*P. Królikowski Karol.*
Hrabia Berski	*P. Baranowski Józef.*
Alfred, jego syn	*P. Wilkoszewski Juljan.*
Szarański, adwokat . . .	*P. Nowakowski Lech.*
Wrotnowski, doktor . . .	*P. Linkowski Adolf.*
Mieczysław Klecki	*P. Szymański Józef.*
Pani Klecka, jego matka .	*Pni Hubert Józefa.*
Helena, jej córka	*Pni Nowakowska Teofila.*
Hrabina Berska	*Pni Linkowska Barbara.*
Emma, jej córka	*Pna Popiel Romana.*
Służący księcia	* * *

Rzecz dzieje się we Lwowie.

Mojemu Ojcu

W. D.-B.

STOSUNKI RODZINNE.

AKT PIERWSZY.

(U księcia. Elegancki salonik. Po lewej stronie kanapa i fotele, po prawej stół zarzucony gazetami i książkami; — przed stołem wygodny fotel i parę krzeseł. Drzwi jedne w głębi, drugie na prawo, trzecie na lewo.)

SCENA I.

Książę — Hrabia.

KSIĄŻĘ

(siedzi na fotelu i czyta gazetę; słysząc skrzypnięcie drzwi odwraca głowę i spostrzegając hrabiego — ze znudzeniem:

Cóż tam panie siostrzeńcze?—Byłażby to już godzina obiadowa?

HRABIA.

Jeszcze nie i bardzo przepraszam, jeźli jestem natrętnym, ale pilno mi było dowiedzieć się o zdrowiu kochanego wuja, i dlatego trochę wcześniej przyszedłem.

KSIĄŻĘ.

A tak. Siadaj. (czyta.)

HRABIA (siadając koło księcia).

Spostrzegam z radością, że wujaszek zdrów dzisiaj; wczoraj odchodziłem bardzo niespokojny; ta podagra męczyła niegodziwie kochanego wuja.

KSIĄŻĘ (czytając).

Uspokój się; jestem zdrów jak ryba. (przestaje czytać) Będę żył jeszcze, mam nadzieję, z kopę lat... na wasze umartwienie.

HRABIA.

Dobry humor wujaszka zaspokaja mnie zupełnie, ponieważ wesołość jest najlepszą oznaką zdrowia.

KSIĄŻĘ.

Więc jestem głupcem?

HRABIA.

Któż śmiałby utrzymywać coś podobnego?

KSIĄŻĘ.

Ty pierwszy, mój kochany; ale jako dobrze wychowany człowiek umiesz zadać pigułkę; zowiesz żartem to, co jest najoczywiściej głupstwem; bo jakże nazwać, proszę cię, człowieka, w moim wieku, nieumiejącego ocenić ludzi otaczających go?

HRABIA (zakłopotany).

Ale... doprawdy...

KSIĄŻĘ.

Widzisz, jąkasz się jak student niemogący odpowiedzieć na pytanie profesora. Zważ sam: albo znam moich ukochanych krewnych i wtedy to co powiedziałem, jest rozsądnem, albo ich nie znam, a wtedy powiedziałem głupstwo. Nie mięszaj się niepotrzebnie, bo ja o przytomnych nie mówię.

HRABIA.

Obowiązany jestem kochanemu wujowi za tę uwagę. ale ona nie przeszkadza przyznać się do żartu

KSIĄŻĘ.

Nie przyznam się, bo nie mam zwyczaju kłamać.

HRABIA.

Zapewne niewytłumaczone prowadzenie się wielu członków naszej rodziny oburzyło znowu kochanego wuja.

KSIĄŻĘ (z ironią).

Szczęściem na tobie nie cięży żadna wina.

HRABIA.

Kochany wuj prawdziwie za łaskaw na mnie.

KSIĄŻĘ.

Nie więcej niż zasługujesz.

HRABIA.

Bez wątpienia w naszej rodzinie są różne przewinienia, i to wielkie nawet, ale niech wuj dobrodziej nie unosi się zbytnie; trzeba być pobłażliwym na cudze błędy. Kto przebacza, może też i dla siebie spodziewać się przebaczenia, a któż z nas bez winy? — W tak licznej rodzinie jak nasza naprzykład, muszą zachodzić różne zdarzenia...

KSIĄŻĘ (gwałtownie).

A, pewnie znowu coś jest. Gdyby nie ty i twoja żona, ja nie wiedziałbym nigdy nic.

HRABIA.

Spokojności drogi wuju! irytacya wujowi szkodzi. Ja też wiedząc o tem, z niechęcią tylko wspominam o przewinieniach naszych krewnych, chociaż znowu z drugiej strony, zdaje mi się, że wypełniam smutny wprawdzie, ale święty obowiązek, wyjawiając prawdę przed głową rodziny.

KSIĄŻĘ (niecierpliwie).

Dobrze już, dobrze; mów raczej. Albo nie, mniejsza o to. (wstaje opierając się na lasce) Wiem doskonale, co mi powiedzieć możesz. Znam was dobrze panowie krewniacy i panie krewniaczki, bo przecież i bez ciebie mogłem łatwo spostrzedz,

że jestem osamotniony, opuszczony; że każdego nudzę i niecierpliwię zadługiem życiem. Och! nie wzruszaj ramionami, wiem co mówię. Zwykle widzę twarz rodzinną wtedy tylko, kiedy mogę przydać się na co, lub wtedy, kiedy jestem chory i to nie na długo; bo po zapewnieniu lekarza, że nie ma niebezpieczeństwa, zmykają czem prędzej ci arcy-troskliwi o moje zdrowie kuzynkowie. Prawda że przychodzą weseli a odchodzą smutni, bo to tak przykro patrzeć na cierpienia kochanej osoby! Są i inni przecież, nie wiem czy lepsi, ale zaręczyć mogę że zręczniejsi od tamtych. Ci znowu nudzą mnie przesadzoną troskliwością, biją nią we mnie jak młotem, i doprawdy muszę mieć nie lada zdrowie, kiedy dotąd nie uległem tym pociskom. Wszystko to znosiłem cierpliwie tak długo jak mogłem, ale wiek ma swoje prawa. Oglądam się i badam czy nie znajdę jakiej szczerej, uczciwej ręki, która wsparła by mnie! — napróżno! — Nie widzę nic. Próżnia! — Nicość, obłuda, interes, chciwość, opasały mnie dokoła jak gadziny, i codziennie po trochę duszy wyrywają mi z łona!.... Serca nie znajduję nigdzie.... Jestem sam, a jednakże złym nie byłem. (siada)

HRABIA (stoi).

Kochany wuju, są przecież jeszcze i inni krewni.

KSIĄŻĘ.

Naopowiadałeś mi tyle o jednych, że straciłem zaufanie do drugich.

HRABIA.

Wujaszek dobrodziej raczy sobie przypomnieć, żeśmy....

KSIĄŻĘ (przerywa).

Pamiętam. Ofiarowaliście mi waszą opiekę, ale ja jej nie przyjąłem, bo nie zgodziłbym się z wami. Wasze przyzwyczajenia są inne aniżeli moje; żyjecie w świecie; macie dzieci, jednem słowem zawadzalibyśmy sobie wzajemnie.

HRABIA.

Ależ.....

KSIĄŻĘ (przerywa).

Nie wszczynajmy na nowo tej rozmowy. Nie przyjmuję, dziękuję i kwita. Jest to może dziwactwo, ale staremu wolno, myślę, dziwaczyć trochę. Lecz uspokój się, nie będziesz potrzebował kłopotać się mną nadal, bo dowiedz się mój panie siostrzeńcze, że wpadłem na bardzo szczęśliwy pomysł.

HRABIA (niespokojnie).

Jakiż to pomysł?

KSIAŻĘ.

Nie obawiaj się, nie mam zamiaru rzucenia świata, wdziania habitu i rozdania zaraz między was majątku. Byłoby to może najrozsądniej, nieprawdaż? Lecz cóż robić? Nie zawsze słuchamy rozsądku i ja też namyśliłem się tymczasem całkiem inaczej, a tamto zostawiam już na sam koniec. Przypomniałem sobie, że moja nieboszczka matka miała dalekich, ubogich krewnych; wypytywałem się zatem o nich i wynalazłem dwie biedne kobiety, matkę i córkę; napisałem do nich i czekam na ich przyjazd. Przybędą dzisiaj i dlatego zaprosiłem was na objad, abyście się zaraz poznali.

HRABIA

(mocno zaniepokojony, ale usiłuje udać obojętnego.)

Dwie krewne? Będą mieszkać u wuja, z wujem? Biedne kobiety? dziś przyjadą? (z przymusem) A to bardzo dobrze; cieszę się niewymownie z tego odkrycia, to była bardzo szczęśliwa myśl. Jak się moja żona ucieszy, gdy się dowie, że wuj dobrodziej będzie przecież raz pielęgnowany przyzwoicie; a moja Emma pozyska pewnie towarzyszkę w tej młodej panience. Prawdziwie szczęśliwa myśl. Czy tylko kochany wuj upewnił się o charakterze tych pań; bo trzeba być ostrożnym; świat taki przewrotny...

KSIĄZĘ.

Były mi jak najzaszczytniej polecone przez wiarygodne osoby.

HRABIA (z rozpaczą).

Ha! kiedy tak. A ich umysłowość, wychowanie?

KSIĄŻĘ.

Wykwintne.

HRABIA

(pada prawie na krzesło; po chwili wstając i przymuszając się do wesołości).

Wszystko tedy jak najlepiej; a ja się obawiałem.... (śmieje się z afektacyą) Cha! cha! Doskonale! Przewybornie! (na stronie) Moje nadzieje; dwie krewne więcej i biedne do tego! (robi ręką znak rozpaczy)

KSIĄŻE.

Co mówisz?

HRABIA.

Ja?... myślę jaką przyjemność mógłbym tym paniom zrobić na wstępie.

SCENA II.

Książę — Hrabia — Szarański.

SZARAŃSKI.

Racz darować mości książę, że wchodzę tak niespodziewanie i nieoczekiwany; do tej śmiałości nakłoniło mnie zlecenie pana Żurowskiego.

KSIĄŻĘ (zimno).

Co mi pan powiesz?

HRABIA.

Jak się ma pan szwagier? Moja żona właśnie dzisiaj była bardzo niespokojna o swego brata.

SZARANSKI.

Od ostatniego krwiotoku mocno zaniemógł, jak panowie niewątpliwie wiecie, a szczególniejszem jest, że ten duch silny osłabł nagle; ta świetna intelligencja, powszechnie ceniona, jest jak gdyby za mgłą. Zrobił się bojaźliwym, niespokojnym, czego dawniej nie bywało; mówi o śmierci jak o rzeczy mającej lada dzień nastąpić.

HRABIA.

Biedny!

KSIĄŻĘ.

Prawda, biedny — on także nie ma nikogo. (do hrabiego) Powiedz mi o co pokłóciliście się? albo nie, nic nie mów; niepotrzebnie mięszam się w cudze sprawy. (do Szarańskiego) Słucham pana.

SZARAŃSKI.

Przed laty pan Żurski złożył był u księcia testament, a ponieważ chciałby w nim poczynić niektóre zmiany, uprasza o zwrot tego aktu.

KSIĄŻĘ (z niewiarą).

Panu polecił wziąć go odemnie?

SZARAŃSKI.

Tak jest; ja trudnię się interesami pana Żurskiego od dawna; ale prawda, mam przecież liścik potwierdzający moje słowa. (oddaje księciu list).

KSIĄŻĘ (biorąc list).

Czemuż od razu nie wspomniałeś pan o tem?

SZARAŃSKI (z lekkiem pomięszaniem).

Przez roztargnienie mości książę.

KSIĄŻĘ (przeczytawszy).

Tak jest, upomina się o swój testament, ale jakże się jego pismo zmieniło!

SZARAŃSKI (nieśmiało).

Pan Żurski będąc bardzo osłabionym pisze z wielką trudnością; ręka mu się trzęsie.

KSIĄŻĘ.

A, tak.

HRABIA.

I bez listu nawet mógłby kochany wuj zwrócić testament, bo Szarański jest nietylko adwokatem ale oraz i najlepszym przyjacielem Żurskiego.

KSIĄŻĘ.

Wiem, wiem; możesz mieć słuszność, a zresztą ten świstek usuwa wszystkie moje skrupuły. Zaraz przyniosę

(wychodzi drzwiami na prawo.)

SCENA III.

Szarański — Hrabia.

SZARAŃSKI.

Brawissimo! nasza wygrana! Nie domyślasz się, na co nam jest ten testament potrzebny?

HRABIA (siadając).

Nic.

SZARAŃSKI.

Przerobiłem twego szwagra najzupełniej; już nie jest taki zajadły na was. Nakłoniłem go do zapisania znacznej części swego majątku twemu synowi.

HRABIA (z niezadowoleniem).

Synowi?

SZARAŃSKI.

A, dziwny jesteś. Lepiej przecież, żeby twój syn dostał coś, niż gdyby wszystko zagarnęły jakieś filantropijne instytucye.

HRABIA.

Masz słuszność. Ale w tej chwili całkiem inna rzecz mię zajmuje. Ty nie przeczuwasz nawet, jaki nowy kłopot spadł niespodzianie na mą biedną głowę.

SZARAŃSKI (siadając).

Cóż takiego?

HRABIA.

Kochany wujaszek odpytał gdzieś tam na prowincji dwie kuzynki.

SZARAŃSKI.

Oho!

HRABIA.

I sprowadza je do siebie.

SZARANSKI.

Nie dobrze.

HRABIA.

Mają dziś przyjechać.

SZARAŃSKI.

Źle! (wstaje).

HRABIA (wstając).

O! i bardzo.

SZARAŃSKI.

Co to za jedne?

HRABIA.

Nie wiem. Nie nazwano mi ich. Jakieś żebraczki zapewne, czyhające na tłusty spadek, jak dzikie ptactwo na żer. Aby dopiąć swego celu, dopuszczą się może nawet jakiej podłości, bo chciwość w podobnych dalekich krewnych nie ma miary ni granic. Obawiam się o wuja.

SZARAŃSKI.

Nic mu się nie stanie, o ciebie tu właściwie idzie. Dwie kuzynki powiedziałeś? stare, młode?

HRABIA.

Matka i córka.

SZARAŃSKI.

Coraz gorzej. (siada) Trzeba się pilnować, mój kochany; kobiety wywierają zwykle na starych ogromny wpływ. Młoda będzie cackać, pieścić, nacierać, zawijać nogi flanelą; stara będzie grać w szachy i pikietę, będzie przyrządzać buljon, smażyć konfitury, i tak wziąwszy starego we dwa ognie, obrobią go prędko.

HRABIA.

Widzisz; właśnie ta obłuda szkaradna oburza mnie najwięcej. Strach mnie przenika, gdy pomyślę że wuj odda się, związany prawie, tym intrygantkom, bo to pewnie intrygantki. Ich udane przywiązanie obałamuci niewątpliwie jego rozum i serce do tego stopnia, że pod koniec życia popełni jeszcze jaką krzyczącą niesprawiedliwość. Zobaczysz, one jego duszę zgubią!

SZARAŃSKI.

Co nam po duszy...

HRABIA.

A, przepraszam cię mój kochany, mnie idzie o mego wuja. Ja obstaję za zasadą, bo jeżeli ohydny podstęp będzie zwyciężał, to uczciwi ludzie nie mają już co robić na świecie, nie dojdą nigdy do czegoś. Na taki zły przykład zezwolić niepodobna przez poczucie obowiązków obywatelskich, przez patryotyzm, przywiązanie do kraju; przez szacunek dla swego nazwiska. Zaradzić zatem muszę temu spiesznie, jeżeli nie chcę być współwinowajcą. Drzę na samą myśl, że będę może musiał uśmiechać się do tych złoczyńców wtedy, kiedy oni oszukując najniecniej swego dobroczyńcę, rodzinę obdzierać, cudze dobro, cudzą własność zabierać będą! (siada)

SZARAŃSKI.

Wszystko to prawda, żeby tylko gorzej jeszcze nie było. A nuż wujaszek dobrodziej zakocha się w panience? Bywało to już mój drogi, starce są kochliwi jak koty!

HRABIA.

Ale fe!

SZARAŃSKI.

Ba! ba! — niczego nie trzeba lekceważyć. Lecz prawda, mowa o kochaniu nasunęła mi na myśl twego syna.

HRABIA (zdziwiony.)

Mego syna?

SZARAŃSKI.

Naturalnie; niech on tę dziewczynkę rozkocha.

HRABIA.

Do czegoż-by to doprowadziło?

SZARAŃSKI.

W najgorszym razie do małżeństwa.

HRABIA.

Wiesz przecież, że mam dla Alfreda inne zamiary, i że kroki stanowcze już rozpoczęte.

SZARAŃSKI.

Jedno drugiemu nie przeszkadza. Tam nie zrywać a tu tymczasem podsunąć bateryę, aby w razie danym módz dać ognia, zrobić wyłom i wziąć fortecę. Gdy niebezpieczeństwo nie będzie grożące, dostatecznem będzie rozkochanie zbałamucenie, rozumiesz? Tym sposobem oburzy się wujaszka dobrodzieja przeciw pannie, a gniew, wierzaj mi, jest dźwignią wielkich, strasznych rzeczy. Ludzie w gniewie zabijają się, dlaczego więc zagniewany wujaszek nie wypędziłby tych pań z domu? W razie zaś, gdyby wujaszek się nie gniewał, no to twój syn ożeni się z kuzynką uradowaną ze swego szczęścia. Będzie to zawsze lepszy interes, aniżeli małżeństwo wymierzone przez ciebie. Kto wie z pewnością, co panna Amalja mieć będzie, a wujaszek dobrodziej ma co najmniej pewny miljon.

HRABIA

(po chwili namysłu ściskając go za rękę).

Dziękuję ci; może i pójdę za twoją radą. Jesteś doprawdy nieoszacowanym człowiekiem.

SZARAŃSKI.

Udzielać rad przyjaciołom, jest mojem powołaniem, mój drogi.

HRABIA.

Kto ma dzieci, powinien dbać o nie. A, powiedz że mi teraz, jak stoi nasz interes? akcye poszły w górę?

SZARAŃSKI (wstaje i z kłopotem).

Dobrze, bardzo dobrze. Telegrafowano mi z Wiednia że sprzedaż idzie dobrze; za tydzień najdalej będziesz miał pieniądze. A, wujaszek! (na stronie) Na moje nieszczęście.

SCENA IV.

Książę — Hrabia — Szarański.

KSIĄŻĘ
(oddając Szarańskiemu list i opieczętowany pakiet).

Przepraszam jeśli długo bawiłem, ale chciałem do mego biednego przyjaciela napisać list, który mu pan oddasz.

SZARAŃSKI (odbierając pakiet i list).

Zaszczytem jest dla mnie wypełniać rozkazy księcia pana. (podając hrabiemu rękę) Do widzenia. Upadam do nóg. (na str.) Nareszcie mam co chciałem. (wychodzi)

SCENA V.

Książę — Hrabia.

KSIĄŻĘ.

Ten biedny Żurski może doprawdy niebawem umrze, a ma piękny majątek.

HRABIA (z udaną obojętnością).

Powiadają.

KSIĄŻĘ.

Więc nie wiesz z pewnością?

HRABIA.

Majątek drugich nie obchodzi mnie nigdy.

KSIĄŻĘ (z ironją).

Oho! rzadka bezinteresowność.

HRABIA.

Kochany wuj zdaje się powątpiewać o mojej szczerości.

KSIĄŻĘ (jak wyżej).

Boże uchowaj. Przecież i ja mam mająteczek; mogłem zatem przekonać się o twoich przymiotach.

HRABIA (kłania się księciu).

(na stronie) Nieznośny dziwak.

SCENA VI.

Książę — Hrabia — Wrotnowski — Klecka — Helena.

WROTNOWSKI
(wchodząc z paniami drzwiami w głębi).

Otóż jesteśmy.

KSIĄŻĘ (z radością idąc ku nim).

A! witam niecierpliwie oczekiwanych gości! (bierze Kleckę i Helenę za rękę, i prowadzi je naprzód sceny).

HRABIA (na stronie).

Ha! to Wrotnowskiego sztuczka; byłem tego pewny.

KLECKA.

Racz nam mości książę wybaczyć, że weszłyśmy tak niespodzianie, byłyśmy do tego przynaglone przez pana Wrotnowskiego.

KSIĄŻĘ
(ściskając Wrotnowskiego za rękę).

Dziękuję ci stary przyjacielu (do Kleckiej) Niepotrzebne tłumaczenie kochana kuzynko. Szczęśliwy jestem, że cię poznaję i przyjmuję u siebie; dawniej powinienem był to uczynić. (do Heleny) No moja wnuczko, bo ja jestem twoim dziaduniem, wiedz o tem mościa panno, nie przestraszyłem cię? Zresztą gdyby i tak było, to oswoisz się gdy się lepiej poznamy. Muszę cię jednakże zawczasu uprzedzić że jestem nudziarz, zrzęda, gderacz, zwyczajnie stary podagrzysta. Eh! jakoś to będzie, mam w Bogu nadzieję.

HELENA.

Mości książę....

KSIĄŻĘ (przerywa).

Dziaduniu, moja panno, dziaduniu, pamiętaj, jeżeli nie chcesz zaraz na wstępie pogniewać się ze mną; ja ciebie wyburczę, a ty mnie znienawidzisz.

HELENA.

Szczęściem nienawiść jest nieznanem dotąd dla mnie uczuciem, a wątpię żeby wzróść mogła pod wpływem dobrodziejstw dziadunia.

KSIĄŻĘ (żartobliwie).

Przekonamy się o tem. (do Kleckiej na stronie) Ładna dzieweczka, moja pani; podoba mi się. Obawiałem się żeby tak nie było.

KLECKA.

Ta pochwała uszczęśliwia mnie nad wszelki wyraz.

WROTNOWSKI
(podchodzi do hrabiego i kłaniając mu się)

Najniższy sługa pana hrabiego.

KSIĄŻĘ.

Prawda, zapomniałem przedstawić wam moje panie waszego krewnego, mego siostrzeńca hrabiego Berskiego.

HRABIA
(kłania się z przymuszonym uśmiechem)

Bardzo mi miło....

KSIĄŻĘ (przerywa).

Co tam miło, albo nie miło; różnie o tem myślą, wierzaj mi mój siostrzeńcze. Dajmy lepiej pokój tym niepotrzebnym grzecznostkom.

WROTNOWSKI (na stronie).

Biedny hrabia, gdyby piołun pił.

KSIĄŻĘ (uderzając się w czoło).

Toż-to ze mnie stary roztrzepaniec! Zapatrzyłem się na tę oto pannę i zapomniałem zapytać was o wasze rzeczy.

WROTNOWSKI.

Jan zabrał się do nich ze swoją zwykłą energją.

KSIĄŻĘ.

Poczciwe Janisko; lecz kiedy on pamięta tak sumiennie o swoim obowiązku, to ja, chociażby dla przykładu tylko nie mogę zaniedbywać mego. Proszę was zatem ze mną drogie kuzyneczki, pokażę wam wasze pokoje, abyście się rozgospodarowały. jak u siebie. Myślę że wszystko znajdziecie w porządku, bo ja znam się na kobiecych potrzebach, (ze smutkiem) miałem żonę... No, potem o tem; dzisiejszy dzień powinien przejść bez chmury. Radość ogólna. (do hrabiego i Wrotnowskiego) Zostawiamy was na chwilkę, wybaczcie. (do Kleckiej i Heleny) Proszę ze mną.

(Książę, Klecka i Helena wychodzą drzwiami na lewo).

SCENA VII.

Hrabia — Wrotnowski.

HRABIA (rzuca się z rozpaczą na kanapę).

WROTNOWSKI (siadając koło niego).

Jakże podobały się krewne panu hrabiemu?

HRABIA.

Za mało miałem czasu na ocenienie ich.

WROTNOWSKI.

Słusznie. Poznawszy je lepiej, zobaczysz pan jakie to dobre stworzenia. Przeszły one ciężką ale dobrą szkołę biedy, zbytek ich nie popsuł. Potrafią one ocenić dobroć księcia i wdzięczne mu będą.

HRABIA.

Dałby Bóg doktorze; ale ja przyznam się tobie, że we wdzięczność nie wierzę i obawiam się....

WROTNOWSKI.

Czego?

HRABIA (zmięszany)

Trzeba znać dokładnie osoby, którym powierza się łatwowiernego i chorobliwego starca.

WROTNOWSKI.

Nie zechcesz przecie hrabio posądzać mię o lekkomyślność znając mię od dawna. Znam te panie bardzo dokładnie i wiem że zasługują najzupełniej na łaskę księcia.

HRABIA (śmiejąc się).

Więc i tym cnotliwym damom zachciewa się sukcessyi?

WROTNOWSKI.

Przepraszam, nie sądźmy o niczem przedwcześnie panie hrabio. Teraźniejsza dobroć księcia wystarcza tym paniom, a wrodzona im szlachetność nie pozwala mieć żadnych widoków na przyszłość. Szanuję ich sposób myślenia, ale nie taję się z tem, że cieszyłoby mię bardzo, gdyby im się co ze spadku po księciu dostało. Wszyscy krewni księcia są mniej więcéj majętnymi, więc część jakaś fortuny oddana uboższym nie zrobi im wielkiego uszczerbku, a te panie uszczęśliwi. Jeżeli krewni nie będą dopomagali sobie, to kto pomoże?

HRABIA (sardonicznie).

Bardzo pięknie mówisz doktorze; tembardziej ta mowa zachwyca mię, że dotąd nie spotykałem się z tą miłością chrześciańską u ciebie. Pozwól zatem zapytać się pan, odkąd zrobiłeś się opiekunem biednych opuszczonych?

WROTNOWSKI.

Od czasu jak biedni i opuszczeni będąc coraz bardziej oskrzydlonymi przez przemądrych łotrów, nie mogą żyć bez opieki.

HRABIA (z ukrytą złością).

Obaczymy, czy twoje protegowane, doktorze, nie zawiodą twoich nadziei?

WROTNOWSKI.

Spostrzegam z żalem, że pan hrabia nie kontent z mojego postępowania...

HRABIA.

Przeciwnie, cóż mnie to zresztą obchodzić może?

WROTNOWSKI.

Ja nie dziwię się temu wcale, bo może teraz przyjdzie panu hrabiemu zmienić tryb życia. Każdy człowiek ma nawyknienia, od których nie lubi odzwyczajać się; tak samo jak żaden ptak nie lubi, żeby obcy przybysz zamieszkiwał gniazdeczko, które on wygodnie dla siebie urządzał.

HRABIA (z dumą).

Doktorze, ja żadnych gniazd nie urządzam!

WROTNOWSKI (dobrodusznie).

Nie gniewaj się pan. Cóż byłoby w tem złego, mój Boże?! praca jest zaszczytem a nie wstydem.

HRABIA.

Praca jak jaka; kiedy przynosząc pracującemu korzyści, nie szkodzi bliźniemu.

WROTNOWSKI.

Takie powiedzenie wygląda strasznie na przymówkę. Gdyby ktoś nieobznajomiony z rzeczą, podsłuchał nas teraz, mógłby

sądzić że ja jestem urwiszem, wyciągającym chleb z ust panu hrabiemu, a przecież tak nie jest. Co więcej, jestem aż nadto dobrze przekonany, że pan hrabia pierwszy będzie nadzwyczaj kontent gdy te biedaczki, jego krewne, nie będą przymuszone służyć lub żebrać.

HRABIA.

Ma się rozumieć; ucieszę się ich powodzeniem niewymownie; dołożę nawet wszelkich starań aby się im powiodło. Przyłożyć rękę do dobrego czynu jest nietylko przyjemnością ale i zasługą w obec Boga.

WROTNOWSKI (wstaje).

A liczne dowody świadczą wymownie, że pan hrabia nie uchyla się nigdy od podobnych czynności. (na stronie) Nie omyliłem się, trzeba będzie mieć go na oku. Mało nie pęknie ze złości; gotów jeszcze tej nocy umrzeć na apopleksyę, a wtedy nie będzie miał czasu zasłużyć sobie na łaskę u Pana Boga, która jest mu bardzo potrzebną.

SCENA VIII.

Hrabia — Wrotnowski — Hrabina — Emma.

HRABINA
(odpowiadając kiwnięciem głowy na ukłon Wrotnowskiego).

Dobry dzień. Wuja nie ma?

WROTNOWSKI

Książę zajęty jest w tej chwili przyjmowaniem gości.

HRABINA.

Jakich gości?

WROTNOWSKI.

Bardzo miłych.

EMMA.

Ale któż to jest?

HRABIA (wstaje i półgłosem do żony).

Spokoju! (głośno) Wuj sprowadził do siebie dwie dalekie krewne.

HRABINA (z niechęcią).

Dwie krewne? Że ci krewni wyrastają z ziemi jak chwasty?

HRABIA (półgłosem).

Elizo! (głośno) Dobry wuj chce im dopomódz.

WROTNOWSKI (na stronie).

Ta przynajmniej nie dypłomatyzuje. (głośno) Pani hrabina jak widzę nie ma ducha rodzinnego?

EMMA.

Czy jest co nudniejszego nad rodzinę!

SZARAŃSKI.

Zdanie to zachwyciłoby dziadunia!

HRABIA.

Nie zważaj doktorze na paplaninę tego dziecka.

EMMA.

Ja zawsze mówię od rzeczy, nawet wtedy, kiedy powtarzam słowa papy.
(odchodzi z minką do stołu i zaczyna przeglądać książki).

HRABINA.

Więc to.... biedaczki?....

WROTNOWSKI.

Są ubogie.

HRABINA.

Byłam tego pewną, bo tylko ubodzy krewni raczą pamiętać o majętnych i przychodzą, pełni udanej serdeczności, pożywić zgłodniałe żołądki.

HRABIA (stara się żonę uspokoić).

Moja kochana, unosisz się.

HRABINA (niecierpliwie).

Bynajmniej. Ja nawet nie dziwię się wcale odwiedzinom tych pań, to całkiem naturalne; kto głodny, szuka pożywienia. Wuj uczyniwszy zadość swemu obowiązkowi, odeszle zapewne te nakarmione trochę damy tam zkąd przyszły, bo wątpię żeby nie poznał się na tej niezręcznej komedji.

WROTNOWSKI.

Z czasem być może; ale nie teraz. Zaręczyć mogę, że zamiary księcia są wręcz przeciwne. Te panie zamieszkają tutaj.

HRABINA (niespokojnie).

Osiędą tu? — będą mieszkać u wuja? A to prawdziwy napad Tatarów! Biedny wuj!

WROTNOWSKI.

Pokaże się czy biedny.

EMMA.

Muszą to być śmieszne parafianki.

WROTNOWSKI.

Znam tu, w stolicy, wiele śmieszniejszych od nich.

HRABINA.

Dziwi mnie że wuj przystał na ich pretensję.

HRABIA (niecierpliwie).

Mówiłem ci już moja droga, że wuj sam ofiarował tym paniom swój dom, one nie byłyby śmiały wejść tu nieproszone; to są bardzo zacne osoby. (półgłosem) Ostrożnie na miłość Boga, bo bardzo niebezpiecznie.

HRABINA.

Och! to zmienia całkiem postać rzeczy, nie uważałam że mi to mówiłeś. Kiedy je wuj zawezwał, muszą być tego godne, i ja z mojej strony będę im odtąd bardzo rada.

WROTNOWSKI.

Cieszę się bardzo, że pani hrabina zmieniła swoje zdanie. (na stronie) To jędza, a przecież ludzie zowią ją kobietą...

SCENA IX.

Ciż sami — Książę — Klecka — Helena.

(Klecka i Helena bez kapeluszów i okryć).

KSIĄŻĘ

Dzień dobry paniom, przedstawiam wam wasze kuzynki: pani Klecka z córką. Emmo, pozyskasz w Helenie bardzo miłą towarzyszkę.

HRABINA.

Zawsze z radością witam krewnych. Zapoznajcie się moje panny.

KLECKA.

Dobroć państwa odurza mnie. Radość, której doznaję w tej chwili, opisać się nie da, ale Bóg czyta w mem sercu i wie, że ono przepełnione jest wdzięcznością.

HRABINA.

Czemu dawniej nie dałaś nam o sobie wiedzieć kochana Pani?

KLECKA.

Biedna, nie chciałam narzucać się krewnym.

HRABINA (na stronie).

Hipokrytka.

HRABIA.

Mając taką śliczną córkę, nie można jak tylko zaszczyt przynieść rodzinie.

KLECKA.

O, nie psuj jej pan.

EMMA (do Heleny).

Pani pierwszy raz w mieście?

KSIĄŻĘ.

Pani?! a to co takiego?

EMMA.

Nie mogę od razu kochany dziadziu...

HELENA.

Pierwsze lody są zawsze trudne do przełamania.

KSIĄŻĘ.

Bronisz jej już, mała koteczko!

WROTNOWSKI (półgłosem do Hrabiego).

Uważasz pan jak ją pokochał?

HRABIA (kwaśno).

Bardzo miła dziewczyna (na stronie). Szatan.

KSIĄŻĘ.

Siadajcie moje panie. Halko przybliż mi trochę fotel.

HELENA.

Natychmiast. (podsuwa fotel przed stół)

WROTNOWSKI
(półgłosem do hrabiny siedzącej na kanapie)

Piękne stworzenie, nieprawdaż?

HRABINA (półgłosem).

Hoża, zdrowa, wiejska piękność; rubaszna jeszcze i niezgrabna. (przypatruje się Helenie, szepcze coś obok stojącemu mężowi i śmieje się głośno i afektownie)

KSIĄŻE.

Co panią tak rozśmiesza? Wiesz że nie lubię, gdy się kto tak głośno śmieje.

HRABIA (z rozpaczą na stronie).

Źle!

SCENA X.

Ciż sami — Alfred.

ALFRED (idąc do księcia).

Kochanemu dziaduniowi rączki całuję.

KSIĄŻĘ.

Dobrze; przywitaj się z temi paniami, to są twoje kuzynki.

ALFRED.

A! (kłaniając się) Dzień dobry paniom; ja bardzo lubię kuzynki.

WROTNOWSKI (odchodząc od Kleckiej)

Zkąd przychodzisz mój młody przyjacielu?

ALFRED.

Ze stajni.

WROTNOWSKI (na stronie).

Byłem pewny, że nie z akademji. (głośno) Cóż, w stajni gorąco?

ALFRED.

Piekielnie! Najgoręcej musi być jednak biednemu Szwipsowi, który brał szwica.

KSIĄŻĘ.

Oj ty wziąłeś czegoś za mało!

ALFRED.

Przepraszam kochanego dziadunia, nie za mało. Miał trzy derchy, jeden koc i dwa nagłówki.

KSIĄŻĘ.

A półgłówek gdzie był?

ALFRED.

Nie znam tego nowego przyrządu.

WROTNOWSKI (na stronie).

Spojrzyj w lustro...

HRABIA.

Wiesz przecież Alfredzie, że dziad nie lubi mówić o koniach, a ty zawsze o tem wszczynasz rozmowę.

ALFRED.

O czemże mam mówić?

WROTNOWSKI.

O tem czego nie wiesz, a przedmiot będzie niewyczerpany.

ALFRED.

Nie rozumiem cię doktorze.

HRABINA.

Nie zważaj Alfredzie, pan Wrotnowski żartuje.

ALFRED.

O, ten kochany doktor zawsze wesół.

SŁUŻĄCY.

Waza na stole.

KSIĄŻĘ (wstając).

Służę państwu. Halko podaj mi rękę.

(wchodzą drzwiami na prawo)

SCENA XI.

Hrabia — Alfred.

HRABIA (do wychodzącego Alfreda).

Alfredzie!

ALFRED (wracając odedrzwi).

Co papeczko?

HRABIA.

Przypatrzyłeś się twojej nowej kuzynce; tej młodej?

ALFRED.

Bardzo dobrze, i ona mnie także.

HRABIA.

I cóż?

ALFRED.

Co takiego?

HRABIA.

Co o niej myślisz?

ALFRED.

Ja?.... nic papo.

HRABIA.

Czy ci się podoba?

ALFRED.

Tak, dosyć; trochę za wysoko się nosi.

HRABIA (niecierpliwie).

Eh! głupstwo! Ładna; prawda?

ALFRED.

Ładna.

HRABIA.

Tem lepiej. Staraj się jej podobać; trzeba dla kuzynek być grzecznym. Biedna dziewczyna zmartwiłaby się zanadto, gdybyśmy ją zimno przyjęli w nasze grono. Rozumiesz?

ALFRED.

Dobrze papo.

HRABIA.

Kuzynowie powinni się kochać między sobą.

ALFRED.

O, to wcale nie trudno.

HRABIA
(klepiąc syna po ramieniu, pół żartem pół serjo)

Dobrze chłopcze, rozkochaj ją.

ALFRED.

Papa każe?

HRABIA.

Chcę tego.

ALFRED.

Dobrze papo; i ja nawet mogę się zakochać.

HRABIA.

Tak, tak, jak krewny. Twoje posłuszeństwo podoba mi się mój synu. Chodźmy. (Wychodzą).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

(Scena przedstawia ten sam salon co w pierwszym akcie, z tą różnicą, że przed kanapą są krosna.)

SCENA I.

Helena sama.

HELENA (opuszczając igłę).

Jak mnie tu ciężko. Kiedy Mieczysław przyjedzie? On mi pewnie dopomoże, a potrzebuję pomocy, bo już tracę odwagę; dłużej nie wytrzymam tego upokorzenia... Biedna mama! (opuszcza głowę)

SCENA II.

Helena — Klecka.

KLECKA

(wchodzi z lewej strony, spostrzega Helenę, zatrzymuje się i smutnie na stronie).

Już znowu smutna. Dzisiaj muszę dojść koniecznie przyczyny jej smutku. (głośno, biorąc Helenę za rękę) Moje dziecię!

HELENA (zrywając się).

Ach! To ty mamo. Jaka ja dziecinna; przestraszyłam się! (zaczyna haftować)

KLECKA.

Helenko, ty chora?

HELENA (wstając i usiłując być wesołą).

Ja mameczko? nie! Nagła senność mnie ogarnęła i zdrzemałam się. (wieszając się matce na szyi) Czy zabraniasz spać twojej Helence?

KLECKA (całując ją w czoło).

Ty nie spałaś Helenko. Matki nie można zbyć lada jaką wymówką. Ja widzę, że ciebie coś martwi; od miesiąca codzień smutniejszą jesteś i tylko przedemną usiłujesz być tak wesołą jak dawniej. O! i teraz na próżno silisz się na uśmiech, twoje czerwone oczy świadczą, że dopiero co płakać przestałaś.

HELENA.

Moja droga mameczko, nie zważaj na to. Wiesz przecież że my dziewczęta płaczemy czasem, nie wiedząc same dla czego. Zresztą w tem jest trochę i twojej winy mamo, bo psułaś mnie zanadto, w skutek czego wyrobiły się we mnie różne kaprysiki, które teraz znosić musisz. Niech cię więc, moja kochana mateczko, łzy zepsutego dziecka nie smucą, a ja ci przyrzekam, że na przyszłość będę rozsądniejszą i że więcej cię niepokoić nie będę.

KLECKA.

Od kiedyż to nauczyłaś się być z twoją matką nieszczerą? Twoje oczy spuszczone i twój rumieniec oznajmują mi, że nie mówisz prawdy; to mnie boli Helenko. Nie myślałam, że dożyję chwili, w której moja córka będzie zmyślać przedemną. Już nie jestem zatem twoją najlepszą przyjaciółką?

HELENA
(ze łzami rzucając się w objęcia matki).

Prawda, najdroższa mamo, jestem nieszczerą, popełniłam wielką winę, ale upewniam cię, że to raz pierwszy i ostatni! Nie chciałam cię smucić; zawiodłam się na moich siłach... Przebacz mi.

KLECKA (ściskając ją).

Uspokój się droga Helenko; wynurz się, a zobaczysz o ile ci lżej będzie, gdy z matką podzielisz się smutkiem. Mów drogie dziecię. (prowadzi Helenę do kanapy, przy której siada)

HELENA
(siada koło matki, trzymając ją za ręce)

Po co przyjechałyśmy tu? Czy nie lepiej było nam w naszem cichem ustroniu? O mamo! nie gniewaj się na mnie, to nie są wyrzuty, ja wiem, że ty mego dobra tylko chciałaś. Och! gorżko musiałam nieraz opłacić ten kawałek chleba nim go do ust wzięłam, i te otaczające nas błyskotki, uszczęśliwiające tylu innych, a których ja nie pragnęłam! Lodowatość i uszczypliwość hrabianki Emmy, że już o innych nie wspomnę, raniły mnie nieraz srodze, ale znosiłam wszystko to przez miłość dla ciebie, bo wiedziałam że dla mnie, droga mamo, porzucisz wszystkie te wygody, niezbędne dla ciebie, a powrócisz do dawnego niedostatku. Nigdy nie darowałabym sobie, że z mojej winy cierpisz niewygodę i nędzę, i dla tego starałam się ukołysać cię moją udaną wesołością, chociaż upokorzenia, których ty mamo często doznawałaś, bolały mnie mocniej, aniżeli te, które się mnie tyczyły. Oto przyczyna mego smutku, moich łez. Nie gniewasz się już na mnie kochana mamo?

KLECKA.

Nie, droga moja; ale czy nie wyobrażasz sobie gorzej aniżeli jest w istocie? Ty taka drażliwa; może kto niechcący ubliżył ci? Książę przecież jest dobrym dla ciebie....

HELENA.

On dobry, to prawda, i nieskończenie obowiązaną mu jestem za wszystkie dobrodziejstwa, któremi nas obsypuje; on ująłby się za nami, jestem pewną. Niestety, książę o niczem nie wie, a czy godzi się zniechęcać go do rodziny, wykrywając mu jej z nami postępowanie?

KLECKA.

Nie, tego nie można; to byłoby nieszlachetnie. Teraz mogę ci się przyznać, że mi wielki ciężar spadł z serca. I ja cierpiałam mocno, ale nadzieja widzieć ciebie szczęśliwą dodawała mi siły do znoszenia wielu przykrości. Kiedy zaś dłuższy tutaj pobyt jest tobie niemiłym, nie mam potrzeby poniżać się dłużej.

HELENA.

Och! dziękuję ci mamo. Może źle czynię, ciesząc się tak bardzo z twego postanowienia, które tobie, niestety, nic dobrego nie przygotowuje? Lecz cóż miałam począć? Bóg widzi że chciałam, a nie mogłam. Osłodzę ci twoją niedolę, zobaczysz mamo; moja miłość, moja troskliwość podwoi się; na niczem ci zbywać nie będzie. Chodźmy tylko ztąd czem prędzej.

KLECKA.

Jakby się nam Mieczysław przydał teraz! On poradziłby nam co mamy czynić.

HELENA.

On przyjedzie, pisałam do niego.

KLECKA.

Pisałaś? to dobrze. Czy tylko jego obowiązki pozwolą mu wydalić się. Powiedz mi jeszcze Helenko, czy ty Alfreda nie kochasz?

HELENA (ze zgrozą).

Och! mamo. To mnie najwięcej przeraża! Nie wspominaj mi mamo o tem, proszę cię. (wspiera głowę na ramieniu matki)

KLECKA.

Nie obawiaj się Helenko, ja ciebie nie przymuszam, nie trwoż się daremnie.

SCENA III.

Klecka — Helena — Wrotnowski.

WROTNOWSKI
(wchodząc drzwiami w głębi).

Co to znaczy moje panie? smutek? łzy? Ja sądziłem że zastanę twarze śmiejące, a tymczasem przeciwnie się dzieje. Co to znaczy kochana pani?

KLECKA (wstając).

Nic kochany doktorze. Czasem płacze się ze szczęścia.

WROTNOWSKI.

Nie tak płacze się wtedy. (biorąc Helenę za rękę) Powiedz pani staremu, co panią trapi?

HELENA.

Nie widzę przed sobą starego, więc nie wiem komu mam się zwierzyć.

WROTNOWSKI.

Zły dowcip, kiedy ma na celu oszukanie przyjaciela.....

HELENA.

Czego bo też zaraz gniewasz się doktorze?

WROTNOWSKI.

Jak tu się nie gniewać, kiedy się jest najsmutniej zawiedzionym w swoich oczekiwaniach! Każdy człowiek, chociażby przez miłość własną, rozmiłowuje się w swojem dziele; jakież musi więc być jego zmartwienie, gdy spostrzeże, że to dzieło licha warte! Otóż jestem właśnie w tem położeniu, bo zamiast uszczęśliwić, sprowadzając was tu moje panie, zasmuciłem. Może zawiniłem w czem?

KLECKA.

Nie doktorze, ty nie zawiniłeś, to my nie możemy pogodzić się z naszem teraźniejszem życiem.

WROTNOWSKI.

Doprawdy?

HELENA.

Nie możemy przyzwyczaić się do nieczynności...

WROTNOWSKI.

Proszę? Ktoby myślał, że to tak trudno.

KLECKA.

Boleśnie nam żyć na łaskawym chlebie...

HELENA.

Nie chcemy narazić się rodzinie...

WROTNOWSKI.

Otóż i wyszło szydło z worka, czekałem tylko na to! Już wiem co się święci; to hrabiego, hrabiny, hrabianki i hrabiątka sprawka; przytrę ja im wszystkim rożków! popamiętają oni starego doktora! Zdawało mi się że widzę wszystkie ich figielki, ale łudziłem się nadzieją, że mi się przywiduje; przekonywam się teraz, że jeszcze wzroku nie straciłem. Nic z tego moje panie, zostaniecie tu i zobaczycie, że wszystko dobrze będzie!

HELENA.

Och! doktorze nie unoś się. My nie chcemy nikomu zawadzać!

WROTNOWSKI.

Próżna delikatność. To oni zawadzają, wierzcie mi moje panie. To są narośle, które wysysają z drzewa wszystkie pożywne soki! Chcąc drzewo ratować, trzeba narośl odrzucić, uczą ogrodnicy. Samoluby zapominają o innych i tylko wszystko dla siebie chcieliby zagarnąć. Że tacy ludzie niestrawności nigdy nie dostaną, to dziwne! Religja, z którą oni co krok się popisują, uczy przecież inaczej. Ba! bo u nich jest tylko ta religja, co popłaca, a nie ta co kosztuje; gdyby trzeba było płacić za to, aby módz się spowiadać, to żadne z nich nie postarałoby się o zbawienie duszy. Bo cóż to dusza w porównaniu z kieszenią!

KLECKA.

Rozważ sam mój przyjacielu....

WROTNOWSKI (przerywa).

Nie potrzebuję rozważać, bo już rozważyłem. Dajcie mi panie słowo, że nie oddalicie się ztąd póty, póki ja wam nie pozwolę.

HELENA.

My nie chcemy wszczynać kłótni w rodzinie...

WROTNOWSKI (zapalając się).

Kto mówi o kłótni? Uczyło kurę jajo rozumu. (całuje Helenę w rękę) Przepraszam, uniosłem się; jestem za prędki. Proszę nie gniewać się na mnie.

HELENA (figlarnie).

Tym razem przebaczam.

WROTNOWSKI.

Chwała Bogu. Jaki ja też niedorzeczny; bo dla czego, pytam, jajo nie ma być przynajmniej takie mądre jak kura? chybaby je głupia kura zniosła. Ale wracając do rzeczy, proszę was, nie smućcie się moje panie; ja biorę wszystko na siebie.

KLECKA.

Tylko nie gwałtownie!

WROTNOWSKI.

Moja w tem głowa. Mam słowo?

HELENA.

Może nie wiesz kochany doktorze, że pan Alfred jest.... bardzo niemiły, natrętny, niegrzeczny nawet.

WROTNOWSKI.

A, a? Tego jeszcze brakowało. A książę co na to?

HELENA.

Książę zwykle taki dobry, taki poczciwy, zdaje się ośmielać jeszcze pana Alfreda.

WROTNOWSKI.

Najlepszym ludziom przewróci się czasem w głowie. On ułożył sobie, że pani zostaniesz żoną tego żokieja

HELENA (ze strachem).

Co?

KLECKA.

Nie mogę dłużej taić przed tobą droga Heleno, że książę bardzo na to nalega.

HELENA.

Ale ja nie chcę.

WROTNOWSKI.

Ja tego nie chcę. Oset dla.... (zatyka sobie usta ręką) ale nie pszenica.

HELENA.

Widzisz zatem doktorze, że my tu dłużej zostać nie możemy.

WROTNOWSKI.

Nie przyspieszajmy niczego, starajmy się owszem zyskać na czasie. Trzeba odkładać o ile można wypowiedzenie ostatecznego słowa.

KLECKA.

Może to nie bardzo pięknie.

HELENA.

Takie odwlekanie nie będzież wyglądało na kokieterję?

WROTNOWSKI.

W tak ważnej rzeczy jak małżeństwo, namysł dozwolony.

HELENA.

Ja nie potrzebuję namyślać się.

WROTNOWSKI.

Wyratowałem brata pani od śmierci?

HELENA.

Och! nie zapomnę tego nigdy!

KLECKA.

O mojej wdzięczności jesteś upewniony doktorze.

WROTNOWSKI.

Proszę zatem dotrzymać teraz danej mi wtedy obietnicy. Nie pięknie wprawdzie przypominać coś podobnego, ale w nagłych razach trzeba używać gwałtownych środków.

KLECKA.

Masz moje słowo doktorze.

WROTNOWSKI (do Heleny).

I pani?

HELENA.

I moje, ale doktorze....

WROTNOWSKI (przerywa).

Już dobrze Tylko kilka dni cierpliwości.

HRABINA (za sceną).

Książę pan w domu?

WROTNOWSKI.

Oho! Słyszę głos syreny, uciekam bo boję się, żeby mnie nie urzekła. Proszę pamiętać! (wychodzi na prawo)

SCENA IV.

Klecka — Helena — Hrabina — Emma.

HRABINA.

Dzień dobry paniom. Bardzo się cieszę, że was zastaję.

EMMA (na stronie).

Nie można przyjść do dziadunia, żeby się z temi parafiankami nie spotkać.

HRABINA
(która rozmawiała z Klecką — do Heleny)

Jak ślicznie wyglądasz...

HELENA.

Pani hrabina zanadto na mnie łaskawa.

EMMA (niby żartem).

Nie powinno to cię więcej dziwić; miałaś czas przyzwyczaić się do naszej łaski. My wszyscy ciebie lubimy.

KLECKA.

Może pani hrabina usiądzie.

HRABINA (siadając).

Już miałam popełnić niegrzeczność i usiąść nieproszona, bo jestem bardzo zmęczoną.

EMMA (na stronie).

Robią honory jak gdyby były u siebie. (siada).

HRABINA.

Oswoiłyście się już zapewne z wielkiem miastem.

EMMA.

Po tych małych mieścinach, w których żyłyście panie dotąd, są dziwne zwyczaje, słyszałam; tam podobno kładą się spać z kurami?

HRABINA (śmieje się).

Cha! cha! cha! Co ty Emciu wygadujesz!

HELENA.

Nie widzę nic dziwnego w wczesnem udawaniu się do snu. Znamionuje to tylko ludzi pracowitych, którzy zmęczeni całodziennym trudem, kładą się wcześnie, aby znowu wcześnie zająć się pracą.

EMMA.

Być może, ale z tem wszystkiem dziadzio wyrządził wam wielką przysługę, jestem pewna, sprowadzając was tutaj; bo tam musi być bardzo nudno.

KLECKA.

Pracując nie ma czasu nudzić się. Nudy są zbytkiem dostępnym tylko dla majętnych.

HRABINA.

O, i dla tych, którzy nie lubiąc pracy, wolą z cudzej korzystać...

HELENA (powstrzymując się).

O ile wiem, jestto tylko udziałem dzieci majętnych rodziców.

HRABINA.

Niekoniecznie. Czasem całkiem obce osoby starają się wejść w prawa dzieci.

KLECKA.

Pani hrabina zna takie wypadki?

HRABINA.

Znam, ale w tej chwili nie mogę nazwisk zacytować; mam bardzo złą pamięć, zwłaszcza do nazwisk... nieznanych, nie należących do mego towarzystwa.

EMMA.

Moja Helenko nie masz nic gustu w ubiorze, wspominam ci o tem, bo boję się, żeby cię nie wyśmiano.

HELENA.

Dziękuję za troskliwość, chociaż nie pojmuję, dlaczego skromny i czysty strój miałby do śmiechu pobudzać. Zresztą nie narzucając się nigdzie, nie dam, sądzę, nikomu sposobności wyśmiania mnie lub pochwalenia.

HRABINA.

Źle czynisz, Helenko kochana, stroniąc od świata; dajesz tem dziwne o sobie wyobrażenie. Już kilka osób dopytywało się mnie ze złośliwym uśmiechem o przyczynę twego odludztwa; ja wiem że ich domysły są fałszywe, ale świata nie przekonam. Tak jest, pani, dla dobra swej córki powinnaś ją nakłonić do zmiany postępowania.

KLECKA.

Moja córka przyjechała na zawezwanie i w celu pielęgnowania swego dziada, ale nie na to aby się bawić.

HRABINA.

Przesadna delikatność, która jej tylko zaszkodzić może; naprzykład, któraż matka pozwoli swemu synowi ożenić się z osobą, o której nie wie, czy w świecie znaleźć się umie?

KLECKA.

Nie życzyłabym sobie dla mej córki na męża syna takiej matki.

EMMA (do Heleny).

Wierz mi, jedno z drugiem połączyć można. A jakbyśmy się doskonale z tobą bawiły, nauczyłabyś nas niewątpliwie różnych gier zabawnych!...

HRABINA (śmieje się).

Mieliby widowisko.

HELENA
(wstaje i przytłumionym głosem).

Tak niezawodnie mielibyśmy widowisko, tylko nie wiem kto z nas ubawiłby się lepiej.

KLECKA (wstając).

Heleno!

HRABINA (wstaje).

Panna Helena albo już zanadto ufa sobie, albo jeszcze nie otarła się dostatecznie! Wypadałoby pomyśleć o tem pierwej, niż o tylu innych niepotrzebnych rzeczach.

EMMA.

Nie rozumieć żartu, jest co najmniej oznaką złego wychowania...

HRABINA.

Nim zaczniesz bywać w świecie, radzę ci moja droga pozbyć się tej prostaczej naiwności. Z życzliwości dla ciebie radzę ci to...

KLECKA.

Helenka tylko od swej matki zwykła nauki odbierać. Pani hrabina życzy sobie zapewnie widzieć się z księciem.

HRABINA.

O, i dla tych, którzy nie lubiąc pracy, wolą z cudzej korzystać...

HELENA (powstrzymując się).

O ile wiem, jestto tylko udziałem dzieci majętnych rodziców.

HRABINA.

Niekoniecznie. Czasem całkiem obce osoby starają się wejść w prawa dzieci.

KLECKA.

Pani hrabina zna takie wypadki?

HRABINA.

Znam, ale w tej chwili nie mogę nazwisk zacytować; mam bardzo złą pamięć, zwłaszcza do nazwisk... nieznanych, nie należących do mego towarzystwa.

EMMA.

Moja Helenko nie masz nic gustu w ubiorze, wspominam ci o tem, bo boję się, żeby cię nie wyśmiano.

HELENA.

Dziękuję za troskliwość, chociaż nie pojmuję, dlaczego skromny i czysty strój miałby do śmiechu pobudzać. Zresztą nie narzucając się nigdzie, nie dam, sądzę, nikomu sposobności wyśmiania mnie lub pochwalenia.

HRABINA.

Źle czynisz, Helenko kochana, stroniąc od świata; dajesz tem dziwne o sobie wyobrażenie. Już kilka osób dopytywało się mnie ze złośliwym uśmiechem o przyczynę twego odludztwa; ja wiem że ich domysły są fałszywe, ale świata nie przekonam. Tak jest, pani, dla dobra swej córki powinnaś ją nakłonić do zmiany postępowania.

KLECKA.

Moja córka przyjechała na zawezwanie i w celu pielęgnowania swego dziada, ale nie na to aby się bawić.

HRABINA.

Przesadna delikatność, która jej tylko zaszkodzić może; naprzykład, którażby matka pozwoli swemu synowi ożenić się z osobą, o której nie wie, czy w świecie znaleźć się umie?

KLECKA.

Nie życzyłabym sobie dla mej córki na męża syna takiej matki.

EMMA (do Heleny).

Wierz mi, jedno z drugiem połączyć można. A jakbyśmy się doskonale z tobą bawiły, nauczyłabyś nas niewątpliwie różnych gier zabawnych!...

HRABINA (śmieje się).

Mieliby widowisko.

HELENA
(wstaje i przytłumionym głosem).

Tak niezawodnie mielibyśmy widowisko, tylko nie wiem kto z nas ubawiłby się lepiej.

KLECKA (wstając).

Heleno!

HRABINA (wstaje).

Panna Helena albo już zanadto ufa sobie, albo jeszcze nie otarła się dostatecznie! Wypadałoby pomyśleć o tem pierwej, niż o tylu innych niepotrzebnych rzeczach.

EMMA.

Nie rozumieć żartu, jest co najmniej oznaką złego wychowania...

HRABINA.

Nim zaczniesz bywać w świecie, radzę ci moja droga pozbyć się tej prostaczej naiwności. Z życzliwości dla ciebie radzę ci to...

KLECKA.

Helenka tylko od swej matki zwykła nauki odbierać. Pani hrabina życzy sobie zapewnie widzieć się z księciem.

SCENA V.

Ciż sami — Mieczysław.

MIECZYSŁAW
(wbiega i obejmuje Helenę).

Droga Helenko!

HELENA (z radością).

Mieczysławie!

HRABINA.

A, nie przeszkadzamy! Podziwiam tę serdeczność nieceremonjalną i ubolewam, że dłużej nie mogę być jej przytomną; ale moja córka niegodna przypatrywać się takim czułym scenom. Chodź Emciu!

KLECKA (zatrzymując ją).

To mój syn, pani hrabino.

HELENA

To mój brat.

HRABINA

Aa!

MIECZYSŁAW (całując matkę w rękę).

Droga matko!

HRABINA (na stronie).

Jeszcze brata potrzeba było! Zlecieli się jak kruki!

MIECZYSŁAW.

Pani hrabina zechce przebaczyć mi, nie wątpię, moją nieuwagę, gdy się dowie że już od roku nie widziałem matkę i siostry.

HRABINA (zimno).

O, to bardzo naturalne. Chodź Emmo!

EMMA
(przez cały czas patrzyła z zajęciem na Mieczysława).

Idę mamo. (kłaniając się Mieczysławowi) Do widzenia.

MIECZYSŁAW (po długiem spojrzeniu).

Powiedzenie to pozwala mi wnosić, że będę mógł tentować o zupełne przebaczenie za moje teraźniejsze postępowanie.

EMMA (figlarnie).

Każdy grzesznik może spodziewać się przebaczenia, gdy wejdzie szczerze i ze skruchą na drogę poprawy.

HRABINA
(zatrzymuje się przy drzwiach i odwracając się).

Czemu nie idziesz Emmo?

EMMA.

Już idę. (kłania się)

HRABINA (na stronie).

Teraz pewnie ta dziewczyna Alfredowi odmówi.

EMMA
(jeszcze raz przy drzwiach odwraca się i patrzy na Mieczysława w końcu wychodzi z matką na lewo).

SCENA VI.

Klecka — Helena — Mieczysław.

KLECKA.

Kochany synu, jakże się cieszę, że cię widzę; ile wdzięczną jestem państwu Rybskim, że cię uwolnili na czas jakiś od obowiązku!

MIECZYSŁAW.

Dowiedz się kochana matko, że jestem wolny nie na czas jakiś, ale na tak długo jak zechcę.

HELENA.

Jakto?

KLECKA.

Nie oznaczono ci czasu powrotu?

MIECZYSŁAW.

Wcale nie, słuchajcie. (siada między matką i siostrą) Odebrawszy list Heleny poszedłem z nim do pana Rybskiego, prosząc go o uwolnienie na parę tygodni; on się wzbraniał, twierdząc że jego syn nie ma czasu do stracenia, nie będąc wcale przygotowanym do egzaminu, mającego lada dzień nastąpić; ja przedstawiłem mu, że to nie moja wina, jeżeli syn pierwej zamiast uczyć się — jeździł konno, polował, balował i t. d. i tak po słówku przyszło w końcu do tego, że prosiłem go, ażeby mnie uwolnił.

KLECKA.

Straciłeś miejsce?

HELENA.

I to przezemnie!

MIECZYSŁAW.

Nie kłopocz się mną kochana matko, nie smuć się niepotrzebnie droga siostrzyczko! Nie mogłem przecież pozostać tam wiedząc, że wam jestem potrzebny; ta myśl mogła była mnie zabić, mógłbym był zwaryować. A zresztą wcześniej czy później byłbym zaniechał guwernerkę. Ta niewola przechodziła moje siły, mój duch niepodległy wzbraniał się poddać się pewnym martwym, konwencjonalnym formułkom. Nie, przekonałem się, że nie umiem prowadzić tych paniczów najczęściej pieszczonych i psutych przez rodziców, mających w nich zawsze obronę przeciwko nauczycielowi. Jestem za-

nadto sumiennym, aby pobierać płacę niezasłużoną, i nie czuję w sobie dosyć odwagi, aby dźwigać na swych barkach odpowiedzialność za cudze błędy.

KLECKA.

Co poczniesz teraz?

MIECZYSŁAW.

Tem się najmniej trapię. Pójdę za popędem mojego ducha; oddam się cały zawodowi, który jedynie uśmiecha się do mnie; poświęcę się piśmiennictwu. Lecz co będę o sobie rozprawiał, mówcie wy mnie raczej o sobie, moje drogie. Z twego listu Helenko dowiedziałem się, że wam tu nie dobrze. Obawiałem się tego zawsze. Cóż jest właściwie?

HELENA.

Co dzień, co chwila, musimy znosić upokorzenia ze strony rodziny księcia Modzerskiego, który jeden jest pełen dobroci dla nas. Inni za to omal że nas nie zowią złoczyńcami.

MIECZYSŁAW (wstaje i głęboko wzruszony).

Już wiem wszystko. Poczciwym krewnym żal tej odrobinki, którą wy się karmicie; niech się uspokoją, pójdziemy sobie. Nie narzucaliśmy się, nie możemy zatem czekać, żeby nas wygoniono. Nie przyszliśmy żebrać! (zapalając się) Źle wyświadczona łaska przestaje być dobrodziejstwem, a staje się upokorzeniem, urągowiskiem! Sposób, w który jałmużna jest podana, podnosi lub zniża jej wartość dla szlachetnych serc. Nie umiecie podać ręki krewnym, a zatem nie zasłużyliście na to, aby uczciwi ludzie wasz chleb jedli! Precz z wami! Ta hrabina, którą tu spotkałem, jest pewnie jedną z tych, którzy wam dokuczają?

HELENA.

Ona najdotkliwiej daje nam uczuć nasze nieszczęsne położenie.

MIECZYSŁAW.

Byłem tego pewny. Nie dobrze patrzy jej z oczu. (z wahaniem) Ale jej córka, wszakże jest inną dla was, prawda?

KLECKA.

Chcesz niemożliwości mój drogi, matka ją wychowała.

MIECZYSŁAW (smutno).

Tak? myślałem inaczej. Taka.... młoda. Żal mi jej.
(zamyśla się)

HELENA
(wstaje i opierając rękę na ramieniu brata)

Co ci jest Mieczysławie?

MIECZYSŁAW.

Mnie? nic! Myślałem nad tem, jak wam najspieszniej zaradzić. Pójdziemy ztąd dziś, zaraz; nie będziemy im dłużej zawadzać.

KLECKA.

Pomyśl wprzódy mój synu o tem, co poczniemy.

MIECZYSŁAW.

Pracujących Bóg nie opuszcza. Helenka będzie haftować, bo widzę po tych krosnach, że zbytek nie obałamucił jej jeszcze zupełnie (całując matkę w rękę) O! nie obawiaj się mateczko niczego, zobaczysz jak nam będzie dobrze. Nie spostrzeżesz się nawet, że opuściłaś ten świetny pałac; chyba dreliszkowa kanapka miasto aksamitnej sofy przypomni ci że jesteś w ubogiej izdebce.

KLECKA.

Kochany chłopcze!

HELENA.

Mówiłam ci zawsze mameczko, że Mieczysław doda nam odwagi, bo on dobry i...

MIECZYSŁAW (przerywa żartobliwie).

Komplementa schowaj na później siostruniu. Teraz zaś powiedz mi, kiedy będę mógł widzieć się z księciem, abym mu nasz zamiar wykrył?

KLECKA (wstaje).

Staraj się wprzód widzieć naszego poczciwego doktora Wrotnowskiego, bo obiecałyśmy mu, że nic bez jego wiedzy nie zrobimy.

MIECZYSŁAW.

Jemu należy się to zaufanie z naszej strony. Biegnę do niego.

HELENA.

On jest u księcia.

MIECZYSŁAW.

Tem lepiej, poczekam tutaj na niego, tym sposobem zostanę dłużej z wami.

SCENA VII.

Ciż sami — Emma.

EMMA
(wbiega, ale widząc wszystkich zatrzymuje się przy drzwiach zmięszana).

O! bardzo przepraszam. Myślałam że zastanę Helenkę samą; chciałam z nią pomówić. Zostawiam to jednakże na później — nie chcę przeszkadzać. (chce wyjść)

MIECZYSŁAW.

Przeciwnie, my pani przeszkadzać nie będziemy. Usunę się z moją matką. Proszę pani zostać.

EMMA.

Bardzo panu dziękuję.

(Mieczysław i Klecka wychodzą na lewo)

SCENA VIII.

EMMA (nieśmiało).

Jak to czasem trudno powiedzieć to, co się chce...

HELENA (zimno).

Przekonałam się od niedawna, że daleko łatwiej aniżeli sądziłam.

EMMA (jak wyżej)

Twoją surowością odejmujesz mi resztę odwagi.

HELENA.

Och! moja surowość nie zasługuje na uwagę.

EMMA.

Mylisz się, ona nie dozwala mi być dobrą, sprawiedliwą.

HELENA.

Ja nie jestem surową, tylko wiem co komu winną jestem.

EMMA (tupiąc nogą)

Ja właśnie nie chcę, żebyś to wiedziała. Ty jesteś ze mną jak z obcą.

HELENA.

Zdawało mi się, że wymagałaś tego pani.

EMMA (płacząc).

Otóż macie! aby mnie dobić mówisz jeszcze: pani. Och! ja bardzo nieszczęśliwa! Dobrze mi tak — czego byłam taka zła? (ociera sobie oczy).

HELENA (ze zdziwieniem)

Nie pojmuję prawdziwie...

EMMA (jak wyżej).

Bo nie chcesz pojąć! (nieśmiało) Helenko, bardzo się gniewasz na mnie?

HELENA (jak wyżej).

Ale...

EMMA (przerywa).

O, nie zaprzeczaj; ty się gniewasz i masz słuszność, bo ja dręczyłam cię niegodziwie, odpychałam od siebie nieczule... Gniewaj się. Nigdy mi nie przebaczysz pewnie!... Dobrze zrobisz, bo nie zasłużyłam na to. (płacze)

HELENA (z rozrzewnieniem).

Emmo!

EMMA (z radością).

Emmo, powiedziałaś, więc się nie gniewasz? Czy to być może? Moim uszom nie wierzę. (wyciągając rękę z bojaźnią) Podasz mi rękę?

HELENA (jak wyżej)

Z całego serca!

EMMA (rzucając się jej na szyję).

O, moja droga, kochana Helutko! Jaka ja szczęśliwa!

HELENA (ściskając ją).

Przeciwnie kochanie, to ja szczęśliwą w tej chwili jestem!

EMMA (niedowierzająco).

Już nie gniewasz się na mnie? nie masz do mnie naj mniejszego żalu? — Co?

HELENA (z wylaniem).

Nie gniewam się, nie! tysiąc razy nie!

EMMA.

Czy tylko szczerze mówisz?

HELENA (z uśmiechem).

Jak na spowiedzi. Zadowolonaś mała niedowiarko?

EMMA.

O bardzo! tyś taka dobra jak anioł. Siadajmy, bo mam ci dużo do powiedzenia. (bierze ją w pół, prowadzi do kanapy i siada koło niej) Widzisz ja byłam bardzo, bardzo zła i na twojem miejscu nie byłabym nigdy przebaczyła.

HELENA.

Nie mówmy więcej o tem.

EMMA.

Owszem mówmy o tem; ja chcę się całkiem uniewinnić.

HELENA.

Dziecko jesteś moja Emmo, nigdy cię nie obwiniałam.

EMMA.

Doprawdy? Kogoż tedy?

HELENA (po chwili).

Siebie że nie umiałam przypodobać się tobie.

EMMA.

Ty podobałaś się mi od razu, ale uprzedzono mnie....

HELENA (przerywa).

Moja kochana, to mnie nie obchodzi; co było a nie jest. nie pisze się w rejestr. Mówmy o czem innem.

EMMA.

Ja ciebie nudzę zapewne? zatrzymuję cię; tobie pilno (mięszając się) do brata. Bardzo go kochasz?

HELENA.

O! bardzo! Żebyś wiedziała jaki on dobry!

EMMA (z roztrzepaniem).

Ja to zaraz poznałam (opamiętując się, ze zmięszaniem) To jest.... tak mi się zdawało, tak się cieszył widząc cię.... twoja matka była taka uszczęśliwioną jego przyjazdem...

HELENA.

Rok, jakeśmy go nie widziały...

EMMA (ciekawie).

Gdzież on był? czem się trudni?

HELENA.

On wychowywał syna państwa Rybskich.

EMMA (z lekkiem niezadowoleniem).

Więc jest guwernerem?

HELENA.

Był nim dotąd; lecz teraz sprzykrzył mu się już ten uciążliwy obowiązek i zostanie w mieście. Będzie pisał, bo on bardzo pięknie pisze; wróżą mu ogólnie świetną przyszłość.

EMMA (ucieszona).

O! to dobrze On jest autorem! Autor! to daleko lepiej wygląda aniżeli guwerner. Ja bardzo lubię autorów! (opamiętując się) To jest, ja chciałam powiedzieć, że literatura jest bardzo miłem i zaszczytnem zajęciem. Ty mnie pewnie wyśmiejesz, ale przyznam ci się, że ja sama pisałabym namiętnie, gdybym tylko umiała. Co on pisze?

HELENA.

Najwięcej powieści.

EMMA

Ja szalenie lubię powieści! Dasz mi je przeczytać droga Helenko. abym mogła powiedzieć mu coś o jego pismach, gdy poznam się z nim lepiej. A poznam się niezawodnie, zwłaszcza teraz, kiedy zostaniesz żoną Alfreda...

HELENA (serjo).

Co ty pleciesz Emmo?

EMMA (figlarnie).

No, no, już ja wiem co mówię! Nie będziesz przecież chciała zrobić mi przykrości, a Fredzia zmartwić? on ciebie szalenie kocha!

HELENA.

Zdaje mi się, że się mylisz.

EMMA.

Wcale nie; zobaczysz zresztą. On ma oświadczyć się dziś tobie. Dziadzio koniecznie tego wymagał.

HELENA.

Widzisz zatem, że gdyby nie dziadzio....

EMMA (przerywa niecierpliwie).

Eh! nie rozumiesz mnie... Alfred ciebie kocha, ale nie śmiał oświadczyć się!

SCENA IX.

Helena — Emma — Alfred.

ALFRED.

Dzień dobry paniom.

EMMA (półgłosem do Heleny).

Oh! otóż i on. Ci zakochani wiecznie się niecierpliwią. (wstaje). Moja kochana, nie bądź bardzo okrutną i nie męcz go długo. (ściskają się) Zrób to dla mnie. (głośno) Do widzenia moi państwo; przepraszam że was zostawiam, ale muszę iść do dziadzia (półgłosem do Alfreda) Śmiało Fredeczku! (głośno, kłaniając się) Do widzenia. (wybiega na lewo).

SCENA X.

Helena — Alfred.

HELENA
(idzie do stołu i przegląda książki. Na stronie).

Czy znowu będę musiała słuchać tych impertynencyj?

ALFRED (na stronie).

Gorąco mi straszliwie! Oświadczać się na prawdę nie umiem, to dziwne. Mnie się zdawało, że nie ma bieglejszego odemnie w tym zawodzie! Ha! co robić? — papa kazał i nie mam czem zapłacić Szpigla. Jak zacząć do licha? (głośno) Przeszkadzam pani?

HELENA
(nieprzestając przeglądać książek).

Nie.

ALFRED (na stronie).

Początek dobry. (głośno) Bo proszę pani.... dziś bardzo pięknie na dworze.... w istocie.

HELENA (jak wyżej)

Wiatru nie ma?

ALFRED.

Ani odrobinki. Można używać przechadzki z przyjemnością, jeździłem też na Alfie; doskonały koń, przy *starcie* trochę trudny to prawda, ale ma za to *speet* nadzwyczajny, skacze *fleing*, Stipelczeser niezwykły. Pani go zna?

HELENA (jak wyżej).

Kogo?

ALFRED.

Mego Alfa?

HELENA (jak wyżej).

Nie mam przyjemności.

ALFRED.

Przedstawię go pani; ta znajomość będzie dla niego za szczytem. Ale wracając do rzeczy, mówiłem, że bardzo pięknie na dworze; wszystko rozkwita...

HELENA
(oparta o stół, udając że czyta w książce, którą wzięła).

I rozum także? To może być bardzo szczęśliwie!

ALFRED.

Szczęściem pani nie potrzebujesz oczekiwać tego rozkwitnienia.

HELENA (przestaje czytać).

Przepraszam, dla wielu z moich znajomych pragnę tego.
(czyta)

ALFRED.

Prawdziwie pani jesteś nad wszelki wyraz wzniosła, litościwa .

HELENA (udając, że czyta, z znudzeniem).

Znajdujesz pan?...

ALFRED.

Mam tę śmiałość. (na stronie) Nie źle idzie. Oh! byłem tego pewny. Jeszcze jeden krok. (głośno) Pani czyta?

HELENA (jak wyżej).

Czytam.

ALFRED.

Zajmujące dzieło pewnie?

HELENA.

Jak dla kogo. Musisz je pan znać? Jest to Irydion.

ALFRED (szukając).

I — ry — djon?

HELENA.

Krasińskiego.

ALFRED.

A! Krasińskiego, znam. Znakomita książka.

HELENA.

I piękna, dodaj pan.

ALFRED (przypatrując się książce).

W samej rzeczy, wydanie ozdobne.

HELENA
(wzruszając ramionami na stronie z politowaniem).

Mój Boże! (patrzy w książkę).

ALFRED (na stronie z kłopotem).

Jakoś nie postępuję; trzeba przecież raz dobiedz do mety. Papa kazał. (głośno) Ozdobne, ale nie tyle jednak, ile rączki które je przerzucać raczą.

HELENA (czytając).

Dziękuję panu.

ALFRED (na stronie z zadowoleniem).

Oto „startowałem!“ Górą nasza! (głośno) Nie masz pani za co dziękować, bo ja szczerą prawdę powiedziałem. Mówię co czuję. (z miną zwycięzką) Pani wiesz o tem dobrze.

HELENA.

Zkądże ta pewność?

ALFRED.

Zdawało mi się, że już nieraz dobitnie dałem pani uczuć...

HELENA (z dumnem spojrzeniem).

Co?

ALFRED (zmięszany na stronie).

Ona nie wie? (głośno) Gorącość mego uczucia...

HELENA.

Słowa pańskie brałam za żart i to dosyć zły nawet, przyznaję się. Jeżeli się nie mylę, powiedziałam to już panu hrabiemu.

ALFRED.

Tak jest pani; ale to straszna nieczułość! Bo nie mogłaś pani nie spostrzedz namiętności tryskającej, z mych oczów i wylewającej się jak lawa rozpalona!

HELENA (zimno).

Nie rozumiem pana hrabiego.

ALFRED.

Przecież tłumaczę się jasno.

HELENA.

Być może, ale ja biedna prostaczka mam tępe pojęcie; nie znam się na kwiecistych mowach wyższego towarzystwa.

ALFRED (na stronie).

Byłażby ona taka głupia? Ale Szpigiel musi być zapłacony, bo koza. (głośno) Pani! dla mnie na ziemi nie ma szczęścia bez... to jest. . ja czuję że wiecznie u nóg twoich pani będę klęczał. (rzuca się przed Heleną na kolana).

HELENA (cofając się).

Co to znaczy?

ALFRED (klęcząc).

To znaczy że ja panią kocham, ubóstwiam! Musisz być moją żoną! O Heleno!

HELENA.

Wstań pan. Aby to wszystko powiedzieć, klęczyć nie potrzeba.

ALFRED (wstając).

Rozkazy pani wykonuję z radością.

HELENA (na stronie).

Co począć? Doktorowi obiecałam, dotrzymać muszę. (głośno z wahaniem) Przyznasz mi pan, nie wątpię, że kobieta nie może lekkomyślnie odważyć się na taki krok, jakim jest małżeństwo, ale powinna namyślić się dobrze, nim zamknie sobie świat idąc za mąż za człowieka, którego dostatecznie nie zna, o miłości którego nie miała sposobności przekonać się.

ALFRED.

Ja pani nigdy w życiu kochać nie przestanę. Miłość twoja, Heleno, jest mi do życia koniecznie potrzebną!

HELENA.

Pan sam nie możesz za siebie ręczyć.

ALFRED.

Ręczę pani.

HELENA.

Jakże w to uwierzyć bez dowodu?

ALFRED.

Ja wszystko uczynię. Ja na wszystko gotów jestem. Przeskoczę na Alfie rów (waha się) dziesięć stóp szeroki, parkan (waha się) cztery stopy wysoki. Dobrze pani? (obciera sobie czoło

chustką; po chwili) Jeżeli nie dosyć jeszcze, to pojadę milę dziesięć minut; mój ukochany Alf zdechnie, ale ja dowiodę mojej miłości. Mogę mieć nadzieję?

HELENA (zimno).

Czas to pokaże. (kłania się i wychodzi na lewo)

SCENA XI.

Alfred sam.

ALFRED (patrząc za odchodzącą)

Co? no proszę kogo, omal że nie zgłupiałem! Czego ona chce? Dowodu, jakiego dowodu? A czy to ja koń wyścigowy, żebym udowadniał moje zalety? Ot rozromansowana dziewczyna! Niechże sobie siedzi i czeka na warjata, który zechce jej zachciankom zadosyć uczynić. Ja nie głupi, moja panno. Oto jej wypłatam figla, zdesperuje gdy się dowie; będzie żałować, ale za późno. Ba! a co powie papa? Kto zapłaci Szpigla? a koza? Och! co począć? oszaleję chyba.

(chodzi po pokoju załamując ręce)

SCENA XII.

Alfred — Wrotnowski.

WROTNOWSKI

(wychodzi od księcia, spotrzega Alfreda, zatrzymuje się i na stronie).

Oho! męczy się nieborak, muszę go wybadać (przystępując, głośno) Co ci jest Alfredzie? Posępny jesteś jak dzień marcowy.

ALFRED.

Nie mam powodu weselić się.

WROTNOWSKI (siada).

(po chwili). Im więcej przypatruję się tobie, tem bardziej upewniam się o jednej rzeczy.

ALFRED (staje przed nim).

O jakiej?

WROTNOWSKI.

Ty się kochasz.

ALFRED (zdziwiony).

Prawda. Kocham się szalenie.

WROTNOWSKI.

Wolałbyś kochać się rozsądnie; ale nie wymagajmy niemożliwości. Otóż wracając do rzeczy, powiem ci jeszcze że oświadczyłeś się.

ALFRED (z coraz większem zdziwieniem).

Zkąd wiesz to wszystko doktorze?

WROTNOWSKI.

Patrząc na twoją twarz rozpaczą brzydko skrzywioną...

ALFRED (przerywa).

Brzydko, powiadasz doktorze? pozwól niech się poprawię. (uśmiechając się) Już dobrze, co?

WROTNOWSKI.

Doskonale; ale za późno pomyślałeś o tem mój kochany, bo twoje pierwotne wyglądanie wydało cię już dawno z sekretu.

ALFRED.

Jakiego sekretu?

WROTNOWSKI.

No, dostałeś koszyka oczywiście.

ALFRED (zmięszany).

Oo!

WROTNOWSKI.

Jeżeli wolisz, harbuza.

ALFRED (z fanfaronadą).

Przepraszam, domysł pański jest mylny.

WROTNOWSKI.

Czemu więc zawracasz oczami tak, jak gdybyś chciał cały niewinny świat zniszczyć?

ALFRED.

Bo.... myślę.

WROTNOWSKI (kłania się).

Aa! — uchylam czoła przed tym rzadkim gościem. O czemże myślisz, jeźli zapytać wolno?

ALFRED (siada).

Myślę o rzeczy mającej me szczęście utrwalić.

WROTNOWSKI.

Ba, ba to nie bagatelka. Wątpisz może o miłości panny, co?

ALFRED (z zadowoleniem).

Ani na chwilę; ona za mną szaleje.

WROTNOWSKI.

Brawo! utworzycie zatem, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, szaloną parę. Szczęść Boże, a wystrzegajcie się czubków.

ALFRED.

Ej, żartujesz doktorze.

WROTNOWSKI.

Nigdy tak serjo nie mówiłem. Przyznaję się jednak, że twojej rozpaczy nie rozumiem.

ALFRED.

To sęk właśnie. Ja muszę ożenić się prędko i to z nią.

WROTNOWSKI.

Musisz?

ALFRED.

Tak. Najprzód dla tego że ją kocham.

WROTNOWSKI.

Słyszałem razy kilka.

ALFRED.

A potem dlatego że....

WROTNOWSKI (kończąc).

Papa kazał?

ALFRED (z największem zdziwieniem).

Aha!

WROTNOWSKI.

Domyśliłem się zaraz.

ALFRED.

Gdybym ja był taki domyślny!

WROTNOWSKI.

Nie wysilaj się na próżno, papa tego nie każe. Ale kiedy się kochacie, to pobierzcie się i kwita. (wstaje i udaje, że chce wychodzić).

ALFRED (wstaje i zakłopotany).

Zapewne, gdyby...

WROTNOWSKI (zatrzymując się).

Jest jakieś gdyby przecież?

ALFRED.

I to wielkie nawet; ale doktorze ty taki rozumny, poradzisz mi pewnie.

WROTNOWSKI (wracając odedrzwi).

Spróbuję.

ALFRED.

Wyobraź sobie mój kochany doktorze, że ona chce dowodu mej miłości. Czy słyszał kto co podobnego?

WROTNOWSKI.

A to prawda. (na stronie) Bardzo zręcznie się wywinęła. Oj te kobiety!

ALFRED.

Suszę sobie głowę ale nadaremnie.

WROTNOWSKI (na stronie).

Wierzę.

ALFRED.

I cóż?

WROTNOWSKI.

Co takiego?

ALFRED.

Twoja rada doktorze?

WROTNOWSKI

Ja nie wiem jak się miłość udowadnia. Zastrzel się, wyskocz przez okno...

ALFRED.

Tak! (po chwili namysłu) Ej nie. Ani jedno ani drugie do niczego nie doprowadziłoby; bo gdy się zabiję to się nie ożenię.

WROTNOWSKI.

Słusznie. Bardzo silna argumentacja.

ALFRED.

A widzisz doktorze! A ja muszę się ożenić, bo...

WROTNOWSKI (przerywa).

Bo papa kazał, wiem. Ale ja nic mam rady, sam co wymyśl.

ALFRED.

Mój Boże! ja myślę, że mi mało głowa nie pęknie.

WROTNOWSKI.

Idź myśleć na dworze. Na wolnem powietrzu myśli przychodzą daleko łatwiej aniżeli w pokoju. (chce wychodzić).

ALFRED (zatrzymuje go przestraszony).

Zmiłuj się kochany doktorze, nie opuszczaj mnie w tej krytycznej chwili.

WROTNOWSKI.

Daj mi pokój.

ALFRED.

Ratuj mnie drogi doktorze!

WROTNOWSKI (zatrzymuje się na stronie).

Przewybornie! zabawię się i zyskamy na czasie. (głośno). Wiesz co Alfredzie? przyszła mi myśl doskonała! Wykradnij pannę.

ALFRED (odurzony).

Co? wykraść ją?

WROTNOWSKI.

Tak jest, wykradnij. Tem dowiedziesz najdobitniej, że ją kochasz, bo któż teraz panny wykrada? Będzie to z twojej strony poświęcenie bez granic.

ALFRED.

Tak sądzisz doktorze?

WROTNOWSKI.

Oczywiście. A nie wspominam już o sławie, którą pozyskasz jakąś nadzwyczajną jazdą. Będą o tem pisać po gazetach.

ALFRED (uradowany).

Uszczęśliwiasz mnie doktorze! Wszyscy Sportsmeni będą się wściekali; stanę od razu na wysokości. Spuść się na mnie doktorze, już to ja wam wstydu nie zrobię. Niech cię uściskam mój najdroższy, mój jedyny przyjacielu! (ściska go)

WROTNOWSKI (wyrywając się).

Dosyć, bo zadusisz do licha. Nie zapominaj, że o tem nikomu wspominać nie można.

ALFRED.

To się rozumie. Biegnę czwórkę sprzęgać, brakuje mi jeszcze taranta. Do widzenia! Wykradam, niech mnie licho porwie! (wybiega).

WROTNOWSKI.

Aż miło patrzeć na takiego chłopca. (wychodzi).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

(Ten sam salon co i w poprzednich aktach.)

SCENA I.

Szarański sam.

SZARAŃSKI (wchodzi drzwiami w głębi).

Powiedziano mi, że go tu zastanę. Potrzeba robi mnie posługaczem; pilnuję cudzych interesów, tak jak nigdy w życiu niestety własnych nie pilnowałem. (siada). Jak wybrnąć? Ożenić się z Emmą? a matka?! Nie, z tego nic nie będzie. Innym radzę a sobie już poradzić nie umiem. (wstaje). No, trzeba skończyć raz z tymi Kleckimi.

SCENA II.

Szararański — Hrabina.

HRABINA.

Dobrze, że cię zastaję. Widziałeś się już z nim?

SZARAŃSKI.

Szukam go właśnie.

HRABINA.

Od niejakiego czasu niedbale wykonujesz moje zlecenia.

SZARAŃSKI (całując ją w rękę)

Nie gniewaj się droga Elizo, ale mam tyle przeróżnych spraw na głowie...

HRABINA.

Oh! dawniej zaniedbywałeś wszystkie sprawy dla mnie! Tylko o mnie myślałeś... ja byłam twojem jedynem zajęciem. Zawsze ja, wszędzie ja...

SZARAŃSKI (z udaną czułością).

I dziś tak samo, zaręczam.

HRABINA (podając mu rękę).

Jeżeli szczerze mówisz, nie będę się gniewać na ciebie.

SZARAŃSKI (ściskając jej rękę).

Najszczerzej. (na stronie) Straszliwie mnie nudzi.

HRABINA.

Dodajesz mi otuchy, bo przyznam się tobie, że już byłam zwątpiła.

SZARAŃSKI.

Godziłoż się posądzać mnie, moja pani? powinienbym cię ukarać...

HRABINA.

Ukarz mnie miłością, będzie to godna ciebie kara. Ja zaś dając ci nowy dowód mego przywiązania pokażę ci, że zasłużyłam na nią.

SZARAŃSKI (z źle ukrytem znudzeniem).

O kochana!

HRABINA.

Jak ty to dziwnie mówisz! W tych słowach brak czucia, brak ciepła...

SZARAŃSKI (śmiejąc się).

Dziecinną jesteś, moja Elizo.

HRABINA.

Potrzebne jest mi to zapewnienie z twojej strony w chwili, w której zaczynam lękać się o przyszłość moich dzieci. Byłbyś okrutnym, gdybyś mnie zawiódł, mnie, co tobie tyle poświęciłam!

SZARAŃSKI.

Umiem to ocenić, bądź przekonaną.

HRABINA.

Zwierzyłeś się mi z całem wylaniem cechującem zakochanego, nie mogłam zatem oprzeć się tobie i wchodząc w twoje przykre położenie wymogłam na mężu, że ci pożyczył znaczną sumę, mającą cię zbawić, a jemu przynieść także jakieś korzyści...

SZARAŃSKI (zakłopotany).

I nie omyliłem się wcale. Interes jest świetny.

HRABINA.

Nie wątpiłam o tem ani chwili; ale tymczasem wielkie niebezpieczeństwo nam grozi.

SZARAŃSKI (niespokojnie).

Wytłumacz się.

HRABINA (czule).

Ta troskliwość mnie wzrusza. Otóż największą część swego kapitału mąż tobie powierzył, wtem przyszła gwałtowna spłata brata, trzeba było się uiścić; pieniędzy nie mogłeś

oddać, mając je w obrocie, procent od nich był niewystarczającym, byliśmy zatem przymuszeni pożyczyć. Koniec końców — nasz majątek jest mocno zagrożony...

SZARAŃSKI.

No, ale gdy zwrócę kapitał z zyskiem?...

HRABINA.

Już za mało, niestety! Tylko majątek księcia może nas zupełnie wyratować. Trzeba zatem Kleckich jak najspieszniej usunąć, po pierwsze z obawy, aby im się co nie dostało, a powtóre, aby rodzice Amalji, którzy już się wahają, nie zmienili planu całkiem.

SZARAŃSKI.

Zdaje mi się, że nasz plan jest wybornie osnuty i że nietylko Kleckich wydalimy, ale nawet oburzymy najsilniej księcia przeciw nim.

HRABINA.

W samej rzeczy. Twoja myśl tym razem jak zawsze była doskonałą i dla tego zwierzyłam się tobie, aby cię do pospiechu w działaniu nakłonić.

SZARAŃSKI.

Spuść się na mnie. Twój mąż pójdzie za moją radą co do Mieczysława.

HRABINA.

Właśnie dla tego przychodzę wuja przygotować.

SZARAŃSKI.

Doskonale.

HRABINA.

Tak; w tym względzie jestem zupełnie spokojna, i gdy mi się jeszcze uda przyciągnąć do Emmy mego kuzynka Alberta...

SZARAŃSKI (przerywa).

Zamyślasz wydać córkę za niego?

HRABINA.

Czemuż nie? Świetna partja, a Emma jest już w wieku pójścia za mąż.

SZARAŃSKI.

Zapewne. (po chwili milczenia). Staraj się jeszcze wymódz na mężu, aby nie nacierał bardzo na mnie o zwrot pieniędzy, bo zepsuje sobie i mnie doskonały interes. Rozpocząłem właśnie nadzwyczajną spekulację...

HRABINA.

Zrobię co będę mogła; nie przeciągaj jednak za długo i oddaj, chociażby nawet korzyści były mniejsze. (z uczuciem). Jak mnie zawsze miło rozmawiać z tobą!

SZARAŃSKI (tając znudzenie).

I mnie także. Ale pst, ktoś nadchodzi!

SCENA III.

Hrabina — Szarański — Mieczysław.

SZARAŃSKI.

Mieczysławie!

MIECZYSŁAW.

Oh! jak się masz?

HRABINA.

Panowie się znacie?

MIECZYSŁAW (kłaniając się hrabinie zimno).

Tak jest pani, oddawna.

SZARAŃSKI.

Chodziliśmy razem do szkół, wprawdzie on był niżej odemnie, ale to nie przeszkadzało naszej przyjaźni. Później spotykaliśmy się jeszcze dorosłymi, ale od dwóch lat już tylko listownie rozmawiamy z sobą.

HRABINA.

Kiedy tak, to macie sobie panowie zapewne wiele do powiedzenia, bo korespondencje nie są nigdy dosyć dokładnemi.

SZARANSKI.

W samej rzeczy, i jeżeli pani Hrabina naszego odejścia nie weźmie nam za złe...

HRABINA.

Za nadto cenię przyjaźń, aby stać na przeszkodzie rozmowie dwóch przyjaciół. (do Szarańskiego). Zazdroszczę panu, nie taję się z tem, pańskiego przyjaciela. Poznałam go i nauczyłam się cenić.

MIECZYSŁAW (zimno).

Nie wiem, czem tak prędko zasłużyłem sobie na względy pani hrabiny...

HRABINA.

Zapytaj się pan raczej, jak mogłeś nie zasłużyć na nie.

SZARAŃSKI.

Chodź Mieczysławie.

HRABINA.

Nie zatrzymuję panów. Do widzenia kochany panie Mieczysławie. (Mieczysław kłania się Hrabinie i wychodzi z Szarańskim).

SCENA IV.

Hrabina sama, później Książę.

HRABINA.

Wierz w przyjaźń biedaku! Teraz idę dalej prowadzić szczęśliwie zaczęte dzieło. Jak przeczuwałam, ta panienka tak się mnie przestraszyła, że mimo gwałtownej chęci Alfreda nie przyjęła. Co ją to kosztować musiało?

(chce iść do księcia i spotyka się z nim przy drzwiach).

KSIĄŻĘ.

A, dzień dobry pani!

HRABINA.

Szłam właśnie do wuja. Jakże się kochany wuj miewa?

KSIĄŻĘ (siadając na fotelu).

Źle mościa pani. Ta przeklęta podagra znowu po kościach igrać poczyna; dlatego chciałbym, żeby moje zamysły czemprędzej się uskuteczniły, bo któż wie, czy dłużej jeszcze was moją obecnością nudzić będę?

HRABINA.

Ach! zkąd kochanemu wujowi te szkaradne myśli przychodzą?

KSIĄŻĘ.

Szkaradne, ale dla mnie tylko, nie martw się zatem pani niemi. Radzę trochę łez zostawić na później, z obawy, żeby ich nie zabrakło właśnie w chwili, w której będą prawdziwie potrzebne. Lecz o tem potem. Kiedy wesele, bo syn pani oświadczył się przecież raz?

HRABINA (siadając na stronie).

Odwdzięczę ci się stary dziwaku. (głośno). Wiem tylko tyle, że oświadczyny miały miejsce, ale o ich rezultacie nic

powiedzieć nie umiem. Alfred miał z ojcem długą konferencję i zapewne mój mąż przyjdzie sam kochanego wuja uwiadomić.

KSIĄŻĘ (gniewnie).

Czemuż nie przychodzi u licha?! To ciągłe zwlekanie niecierpliwić mnie zaczyna! (łapiąc się za nogę). Aj! aj!

HRABINA (wstając na pół).

Może podać co wujowi?

KSIĄŻĘ.

Nie, dziękuję.

HRABINA.

Czy Zygmunt był u wuja z pożegnaniem?

KSIĄŻĘ.

Albo wyjechał gdzie?

HRABINA.

A, wyjechał — do Szwajcarji podobno. Powiadają, że dla uprzyjemnienia podróży wziął z sobą jakąś awanturnicę.

KSIĄŻĘ.

Bierz go licho!

HRABINA.

Żeby tylko większego głupstwa nie zrobił. Wyobraź sobie kochany wuju, słyszałam, że on chce ożenić się z nią.

KSIĄŻĘ.

Mniejsza o to, zawsze był wielkie ladaco. (krzywiąc się). Aj!

HRABINA (na stronie).

Obeszło go to, bo go lubił. (głośno). Prawda, poszedł złą drogą nieszczęściem i nie opamięta się pewnie aż po ciężkiem doświadczeniu; zwykle to tak bywa z tymi lekkoduchami. On zasługuje na litość zapewne, ale przecież ci biedni Marjanostwo...

KSIĄŻĘ
(krzywiąc się i nacierając nogę).

Aj! aj! Szelmowski ból — świętego mógłby w wściekłość wprowadzić! Cóż tym razem stało się znowu?

HRABINA.

Rujnują się widocznie. Zbytek u nich niesłychany. Życie nad stan jest niezawodnie wielkim grzechem, zwłaszcza jeżeli się ma dzieci, ale o ileż większym jest uwodzenie wierzycieli nadzieją spadku! Oni spekulują na...

KSIĄŻĘ (kończąc).

Moją śmierć, nieprawdaż? O! nie wahaj się pani, powiedz śmiało; niczego nowego zresztą się nie dowiem.

HRABINA.

Z żalem wyznać to muszę...

KSIĄŻĘ.

Ohydnie to jest z ich strony, nie ma gadania; ale nie pierwsi oni ani ostatni. Przyznam się nawet, że oni są o tyle lepsi od innych, że nie tają się przynajmniej z tą myślą.

HRABINA.

O pewnie, że szczerość, chociaż nas martwi nawet, jest stokroć lepszą od obłudy...

KSIĄŻĘ.

Jest że kto obłudnym z otaczających mnie?

HRABINA.

Nie śmiem posądzać, chociaż pozory...

KSIĄŻĘ (przerywa).

Nie radzę wierzyć pozorom.

HRABINA (na stronie).

Jeszcze nie czas. (głośno). Ja też właśnie chciałam powiedzieć...

KSIĄŻĘ (przerywa).

Skończmy lepiej tę rozmowę. Co to znaczy, że mąż pani nie przychodzi? Oh! ta podagra niegodziwa! Czego się opóźnia? ja nie mam czasu czekać!

HRABINA.

Róża wyjechała.

KSIĄŻĘ.

Wyjechała nie pożegnawszy się ze mną!

HRABINA.

Ona wiedziała, że wuj ją bardzo kocha i obawiała się, żeby wuj nie zawezwał jej do siebie, jak to było w zamiarze, zapewne lękała się, iż nie potrafi według swego życzenia kochanemu wujowi dogodzić...

KSIĄŻĘ (gwałtownie).

Dosyć! Nie tłumacz jej pani, znam się na tych sztuczkach. Stary im ciąży! Już obrzydło mi to życie, krewni zohydzili mi je! Oj! noga! Przeklęta!

SCENA V.

Hrabina — Książę — Hrabia.

KSIĄŻĘ (z przekąsem).

Przyszedłeś nareszcie; bardzo szczęśliwie!

HRABIA.

Spieszyłem się jak mogłem. (do hrabiny cicho) Przygotowany?

HRABINA (do hrabiego cicho).

Najzupełniej; jest w wściekłym humorze.

KSIĄŻĘ.

No i cóż? — Nic nie mówisz?

HRABIA (z udanym kłopotem).

Kochany wuju, nieraz najlepsze ludzkie zamysły muszą się rozbić o nieugiętą konieczność...

KSIĄŻĘ (stukając laską).

Co to znaczy?

HRABINA.

Niech wuj dobrodziej nie unosi się; to może szkodzić zdrowiu.

KSIĄŻĘ (z gniewem).

Co tam zdrowie mościa pani! (do hrabiego) Mów jasno!

HRABIA.

Powinniśmy być wyrozumiałymi na słabostki ludzkie, a tem bardziej te słabostki powinny być uwzględniane, jeżeli pochodzą z tak czystego źródła, jakiem jest serce...

KSIĄŻĘ.

Prędzej do djabła! Bez przedmowy, najlepsza przedmowa jeszcze nic nie warta.

HRABIA.

Serce kobiet zwłaszcza nie daje się powodować rozumowi. Ono zawsze idzie za własnym popędem, niezważając ażali kierunek obrany przezeń jest dobrym lub nie...

KSIĄŻĘ (niecierpliwie).

Więc co? więc co? Powiedz od razu, że Helena nie przyjęła Alfreda! co?

HRABIA (z hypokryzją).

Nie śmiałem kochanemu wujowi sprawić tej przykrości...

HRABINA.

Niech kochany wuj nie gniewa się na nią o to...

KSIĄŻĘ.

Czy to możliwe?

HRABINA.

Któż może wiedzieć, czy ona nie przyobiecała już komu swej ręki. Na prowincji kochają się bardzo łatwo i często miewają zobowiązania, którym muszą zadosyć uczynić...

KSIĄŻĘ
(patrząc znacząco na hrabinę).

Helenka zatem zbłądziła?

HRABIA.

Och! broń nas Boże od tej myśli! Moja żona tego nie utrzymuje, tylko...

KSIĄŻĘ (przerywa gwałtownie).

Nie ma żadnego tylko! To nie może być, żeby Helenka waszego syna nie przyjęła. Tu jest jakaś inna okoliczność; ale dowiem się zaraz o wszystkiem. Poszlę po Helenę.

(chce dzwonić)

HRABIA (zatrzymując go).

Zapewne, jest inna okoliczność, ale....

KSIĄŻĘ.

Co za ale?

HRABINA.

Nie chcemy kochanego wuja rozjątrzać przeciw tym biedakom...

HRABIA.

Oni potrzebują wsparcia i pomocy, a chociaż wprawdzie ich niewdzięczność zasługiwałaby na karę, ja nie chcę im szkodzić. Pan Bóg nakazuje zapominanie uraz i obelg. Według przepisu rzucam na nich chlebem.

KSIĄŻĘ (niecierpliwie).

Ależ moi państwo, doprowadzacie mnie do ostateczności tą niezrozumiałą gadaniną! Chcecie mnie żywcem umęczyć? Aj! ta podagra do tego!

HRABINA.

Boimy się obrazić wuja...

HRABIA.

Nie śmiem prawdziwie....

KSIĄŻĘ.

Śmiej — ja chcę. Chcę wszystko wiedzieć!

HRABINA.

Mów kiedy wuj każe.

HRABIA.

Muszę zastosować się do woli wuja, choć widzi Bóg jak mi to przykro...

KSIĄŻĘ (stukając laską).

Prędzej!

HRABIA.

Ten brat panny Heleny to literat.

KSIĄŻĘ (lekceważąco).

Wiem o tem.

HRABIA.

Pisze powieści.

HRABINA.

Szkaradne paszkwile...

HRABIA.

Te panie zbierały tu wzorki, które mu posyłały, z czego on korzystając pooczerniał nas wszystkich...

HRABINA.

Nie wyłączając nawet kochanego wuja...

HRABIA.

A naturalnie, bo wuj najbardziej zawiódł ich nadzieje, gdyż oni w swej zapamiętałości sądzili, że pani Klecka zajmie tu pierwsze stanowisko.

KSIĄŻĘ.

Co?

HRABINA.

Złość, nienawiść i zawiedziona ambicja podyktowały oburzającą powieść...

KSIĄŻĘ.

Wszyscy ci literaci mają źle w głowie...

HRABIA.

Ale gdy ta powieść wyjdzie na świat, będzie to niesłychany skandal, a już się drukuje. Cała rodzina oczerniona, i nie wiem prawdziwie dla czego o mnie głównie pamiętać raczył. Nazwał mnie chciwym, fałszywym, obłudnym, próżnym...

KSIĄŻĘ
(jak gdyby nie bardzo temu zaprzeczał).

No, no.

HRABINA.

Mniejsza o nas, ale czy godziło się oczerniać wuja, swego dobrodzieja?

HRABIA.

Tyle tam żółci i złości, że boję się zgrzeszyć, powtarzając wszystkie te niegodziwości ..

HRABINA.

Nazwał wuja dziwakiem...

KSIĄŻĘ.

Sposób zapatrywania się.

HRABIA.

Szkaradnym egoistą, skąpcem, pasibrzuchem...

HRABINA.

Pokutującym teraz za dawne grzechy...

KSIĄŻĘ.

Może to i prawda. (z powstrzymaną złością) Ten literat ma zaprawdę nie całkiem źle w głowie.

HRABIA.

A mimo tego rozpustnym jeszcze...

KSIĄŻĘ.

Ha! tego już zanadto!

HRABINA.

Sprowadzającym do domu młode kuzynki, aby...

KSIĄŻĘ
(wstaje, i wybuchając przerywa).

Dosyć! dosyć do stu djabłów! Póki wspominał o ułomnościach, nie miałem mu tego za złe, bo za doskonałość uchodzić nie chcę, zresztą z czasem byłby swój błąd poznał i żałował że go popełnił! Lecz za daleko się posunął ośmielając się naruszać mój charakter! Targnął się na mój honor — to za wiele! Wara mój panie! Zapłacisz za to i całe twoje gniazdo także! Kto upoważnił tego panicza do nauczania innych?!

HRABIA.

Zwykle ci ludzie widzą słomkę w cudzem a nie widzą belki we własnem oku.

KSIĄŻĘ.

Ja mu ją pokażę! I ci też zawiedli mnie! Wszędzie złość, fałsz, brudy! to nie do wytrzymania! Wpierw z panną się rozmówię, a na panicza przyjdzie później kolej! (idzie do drzwi na lewo i krzyczy) Pani Klecka, proszę z córką!

HRABIA (zacierając ręce na stronie).

Przecież...

KSIĄŻĘ (otwiera drzwi i krzyczy).

Pani Klecka!

HRABIA (półgłosem do żony).

Stary zwinął się jak wąż!

KSIĄŻĘ (krzyczy).

Pani Klecka! proszę przyjść tu zaraz z córką!

KLECKA (z pokoju).

Idę, mości ksiażę.

HRABINA (półgłosem do męża).

Nasza wygrana, ale nie bez trudu.

SCENA VI.

Ciż sami — Klecka — Helena.

KLECKA.

Jestem na rozkazy.

KSIĄŻĘ (siadając).

Można było pospieszyć się trochę. (do Heleny) Hrabia Alfred oświadczył się dzisiaj o pannę.

HELENA.

Tak jest, mości książę.

KSIĄŻĘ.

I przyjęłaś go panna? Nie odpowiadasz?

KLECKA.

Moja córka....

KSIĄŻĘ (przerywa).

Ja pytam się córki pani.

HELENA (stanowczo).

Nie.

KSIĄŻĘ.

I panna śmiesz mi to powiedzieć!

HELENA.

Nie widzę w tem nic złego.

HRABIA.

Moje dziecię, pamiętaj z kim mówisz.

HELENA.

Zdaje mi się, że moje słowa nie uwłaczają nikomu, a zatem uwaga pana hrabiego, jakkolwiek łaskawa, jest przecież niestosowną...

HRABINA.

Co za hardość! (niby na stronie) Pazurki zaczynają się okazywać.

KLECKA.

Stawać w obronie swojej obrażonej godności, to nie hardość pani hrabino.

KSIĄŻĘ.

A czy i to także godność, dla jakichś tam pokątnych sentymentów nie przyjmywać mego dobrodziejstwa? Czy to także tyle głoszona godność osobista nie pozwala zostać żoną, a nie wzbrania być....

KLECKA
(przerywa, ale z uszanowaniem).

Podobnej mowy nie zwykłyśmy słuchać, mości książę!

KSIĄŻĘ

A to chyba u mnie odwykłaś pani od tego, bo dawniejsze nawyknienia pani nie mogły być bardzo wykwintne.

HELENA (postępując naprzód).

Nie idzie tu bynajmniej o nasze nawyknienia, mości książę, wspomnę tylko nawiasem, że chociaż różnią się one bardzo od tych, które napotykałyśmy tutaj, nie dozwalają one jednak córce słuchać, jak jej matkę znieważają. O! racz mnie książę wysłuchać: jestem szczęśliwą, że mogę nareszcie wypowiedzieć otwarcie to co od miesiąca w sobie tłumię! Zawezwane przez księcia, przyszłyśmy nie jako natrętne żebraczki, ale jako krewne przejęte szczerą wdzięcznością. Żałujemy, że nie potrafiłyśmy przypodobać się księciu, lecz upokorzeń dłużej znosić nie możemy Odchodząc spojrzymy śmiało w oczy każdemu, bo nie popełniłyśmy nic (z bystrem spojrzeniem na hrabinę) co by nas wstydzić mogło, nie byłyśmy przyczyną niczyich łez i zmartwienia; nie popełniłyśmy żadnej czynności hańbiącej! Odchodzimy z czołem wzniesionem, z sercem spokojnem, z wiarą, żeśmy wypełniły powinność naszą! (patrząc na hrabstwo) Odchodzimy wreszcie tak, jakeśmy przyszły, nie wymagając niczego.

KSIĄŻĘ (zdumiony).

Co?

HRABINA (śmiejąc się afektownie).

Cha! cha! cha! Nie wiedziałam, że córka pani taka bohaterka! (śmieje się)

HRABIA.

Żal mi jej.

KLECKA.

Moja córka nie potrzebuje litości.

KSIĄŻĘ (ledwie mówić może).

Ha! to tak! To iest więc uszanowanie należne starszemu krewnemu — taka wdzięczność za doznane łaski? Pięknie! bardzo pięknie! wyśmienicie! nie ma co mówić!... tego się nie spodziewałem... to mnie dobiło! Zamiast mnie przeprosić, uniewinnić się; opierać się mnie, robić mi wyrzuty? Jestem dobrze zapłacony za moją dobroć i łatwowierność! Asindźkie nie wiecie, co przygotowujecie sobie waszą śmiałością. Śmiecie moje panie! śmiecie!

HELENA (z godnością).

Będą one świadczyły najwymowniej o naszej uczciwości.

HRABINA (ze zgrozą).

Aa!

HRABIA.

Szatan opętał tę dziewczynę.

KSIĄŻĘ (wybuchając).

Zobaczymy, czy ta uczciwość łatwa do utrzymania w dostatkach, nie zachwieje się w biedzie i nędzy! Alfred będzie może miał wtedy więcej powodzenia niż dzisiaj.

HELENA
(zakrywa sobie twarz rękami ze łkaniem).

Ach! okropnie!

KLECKA (obejmując Helenę).

Mości książę, jesteś okrutny! (tuląc Helenę do siebie) Moje drogie dziecię.

SCENA VII.

Ciż sami — Mieczysław.

MIECZYSŁAW (biegnąc do matki i siostry).

Moja matko! Heleno! co wam jest?

KLECKA.

Och! synu!

HELENA.

Broń nas Mieczysławie!

MIECZYSŁAW.

Bronić was! przed kim?

KSIĄŻĘ (wstaje).

Pan jesteś przyczyną tego wszystkiego. Pan swemi dziwnemi wyobrażeniami zawróciłeś głowę tym biednym kobietom; to nie jest sprawa ani uczciwego syna, ani szlachetnego człowieka!

MIECZYSŁAW.

Chociaż ten zarzut jest dla mnie zupełnie niezrozumiałym, jest on jednakże zanadto dotkliwym, abym zaniechał tłumaczenia. Książę pan zna mnie za mało, żeby mógł mnie posądzać o nieszlachetność, to też kładę na karb tej nieznajomości te słowa, które przez głęboki szacunek dla księcia chcę zapomnieć...

HRABIA (na stronie zacierając ręce).

Coraz lepiej!

HRABINA (wstając).

Niech kochany wujaszek nie zważa na te niedorzeczności. Wszystkim tym literatom zamąciło się w głowie.

KSIĄŻĘ (idąc ku niemu).

Cóż to mój Don Kiszocie, chciał byś może pojedynkować się ze mną?

KLECKA
(stając przed synem i składając ręce).

Mości książę....

HELENA (powstrzymując brata).

Mieczysławie błagam cię!...

MIECZYSŁAW (powstrzymując się).

Zanadto umiem cenić wiek twój i twoją dobroć mości książę, aby myśl pojedynku z księciem powstała we mnie. Jednakże wiem też bardzo dobrze, co mi się należy. Nie myśl pan, że biedni są już zupełnie wyzuci ze czci, i że obelg czuć nie umieją. Oni nie mają żadnego innego majątku prócz uczciwości, nie posiadają nic innego oprócz szacunku ludzi; dla tego też wierz mi, mości książę, ujmują się oni goręcej za sobą aniżeli majętni, bo oni uczciwości i znaczenia kupić sobie nie mogą, ale zarabiać muszą nieustannem staraniem na jedno i na drugie! Jeżeli matka moja i siostra przyjęły ofiarę, którą książę im uczynić raczyłeś, to wiedziały bardzo dobrze do czego ich zobowiązuje, ale nie myślały ani chwili okupywać tej łaski ciągłem poniżaniem się. Szanowały one na to za nadto siebie i księcia. My pieniędzy bez serca nie potrzebujemy, bo mamy zdrowe ręce, które potrafią zarobić na kawałek chleba, czarniejszego może ale smaczniejszego pewnie, bo nikt nie będzie chciał go nam wydrzeć, gdy go do ust kłaść będziemy, nikt nie każe nam bić za niego ubliżających nam pokłonów! Nie chcąc być dłużej ciężarem rodzinie, zamyślaliśmy od dawna podziękować księciu za jego łaskę i prosić go o uwolnienie nas. Żałuję zatem tylko, że nieprzyjaźne nam okoliczności inaczej zrządziły!

KSIĄŻĘ.

Co za śmiałość! słyszycie? Chce wyjść z mego domu, nie czekając, żebym go pożegnał!

HELENA.

Książę pan zechce wierzyć, że mamy dosyć rozsądku i że szanujemy siebie tyle, aby ztamtąd, gdzie nam nie radzi, wyjść wpierw, nim nas wypędzą.

KSIĄŻĘ.

Eh! kto mówi o wypędzeniu.

HRABINA.

Ci ludzie są bez serca i wychowania.

MIECZYSŁAW.

Jeżeli wychowanie jest podłością, to go nie mamy...

KSIĄŻĘ.

Ale ten panicz myśli, że mu już wszystko wolno dla tego, że w swem życiu zaczernił parę arkuszy papieru! Znieważać starych, ubliżać paniom, bawić siebie i jemu podobnych próżniaków kosztem własnej rodziny! Ale to się tak nie skończy, mój panie, oddasz twe pisma, będziesz musiał tłumaczyć się.

MIECZYSŁAW (spokojnie i z godnością).

Moje pisma są moją własnością i nikt do nich nie ma prawa; nikomu nie jestem winien tłumaczenia. Ocenienie wartości pism moich, oto jedyne prawo, które światu przyznaję.

KSIĄŻĘ.

Eh! pana znać nie chcę — słyszysz pan? Rób sobie, co ci się podoba, ale matka i siostra zostaną u mnie.

KLECKA.

Jeżeli mój syn nie może przestąpić progu domu tego, to i ja w nim pozostać nie powinnam.

KSIĄŻĘ (z niepokojem).

A Helena?

HELENA.

Nie rozłączałam się nigdy z moją matką, a brata uważam za jedynie właściwą i niezbędnie potrzebną dla mnie opiekę.

KSIĄŻĘ (siadając i z gniewem).

A to idźcie.... (kończy swoją myśl niezrozumiałem mruczeniem, uderzając pięścią w stół)

SCENA VIII.

Ciż sami — Emma — Alfred.

MIECZYSŁAW.

Idziemy mości książę i żałujemy tylko tego, że nie możemy w naszych sercach zamieścić wdzięczności...

HELENA.

O! nie mów tak Mieczysławie! dobroć i łaska księcia wryły się za głęboko w moje serce, aby chwila uniesienia zdolną była zatrzeć wspomnienie o nich...

HRABINA (na stronie).

Chytra jaszczurka!

EMMA (idąc naprzód).

Co słyszę? Wy, to jest, ty idziesz ztąd Helenko?

HRABINA.

Emciu!

EMMA.

Zaraz mamo. Helenko, powiedzże mi, odchodzisz?

HRABIA.

Emmo, mama cię woła.

HELENA.

Idź droga do rodziców, od nich dowiesz się o wszystkiem.

EMMA.

Och! nie! Wy nie pójdziecie! ja dziadzia poproszę, on dobry; przebaczy wam!

HELENA.

Nie zawiniłyśmy, a zatem i przebaczenia nie potrzebujemy.

MIECZYSŁAW.

Dobroć pani jest dla nas prawdziwym balsamem, ale wierzaj mi pani, że nic zmienić się nie da. (na stronie z rozpaczą) To anioł!

EMMA.

Co to znaczy?... Droga Helenko, pamiętaj przynajmniej o mnie.

HRABINA (na stronie).

Co się tej dziewczynie nagle stało?

EMMA (ściskając rękę Kleckiej).

I pani też o mnie pamiętać będzie?

KLECKA (z rozczuleniem).

Nie opuszczę cię nigdy w moich modlitwach, drogi aniołku.

ALFRED (na stronie).

Masz tobie, a cóż ja teraz pocznę?

MIECZYSŁAW (z trudnością).

Chodźmy, nie naprzykrzajmy się dłużej. (do Emmy) Racz pani przyjąć zapewnienie naszej pamięci i wdzięczności. (na stronie) Och to boleśnie!

EMMA (zakrywając sobie twarz chustką).

Och to bardzo źle. (płacze).

SCENA IX.

Ciż sami — Wrotnowski.

WROTNOWSKI

A to co znowu?

HRABIA (na stronie).

Tego nam potrzeba było!

KSIĄŻĘ.

(niechętnie). Mój kochany, te panie uparły się pójść i idą. Może zdołasz wytłumaczyć im to.

HELENA.

Kochany doktorze, nie mogliśmy słowa dotrzymać.

MIECZYSŁAW.

Gdy mnie wysłuchasz, przekonasz się mój drogi, że musieliśmy tak postąpić Żegnam państwa.

HELENA (biorąc Emmę za rękę).

Bywaj zdrowa Emmo! Racz mości książę przyjąć raz jeszcze zapewnienie naszej wdzięczności.

(Kleccy wychodzą drzwiami na lewo).

SCENA X.

Ciż sami oprócz Kleckich.

WROTNOWSKI (żywo).

Brawo! dzieło dokonane! Szukajże sobie mój kochany innego doktora, bo ja nie chcę leczyć człowieka, który jak listek najmniejszemu wiaterkowi, daje się powodować złośliwości i intrydze! Jeszcze i mnie wypędziłbyś po dwudziestoletniej przyjaźni! Za wielką przykrość sprawiłoby mi to; wolę zatem sam usunąć się pierwej. Spodziewam się, że teraz sen i apetyt nie opuszczą więcej państwa hrabstwa! Winszuję! (chce wychodzić).

ALFRED (zatrzymując go i na stronie).

Doktorze, a co będzie z wykradzeniem?

WROTNOWSKI (wściekły wyrywając się).

A dajże mi czysty pokój!. (wychodzi).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

(U Szarańskiego. Po lewej stronie ku środkowi, biuro zarzucone papierami, ustawione tak, że siedzący przy niem jest obrócony twarzą do widzów; przed niem fotel i krzesło. Koło biura przy ścianie duża żelazna kasa, po prawej stronie stół i wkoło niego fotele. Jedne drzwi w głębi, drugie na prawo).

SCENA I.

Szarański sam.

SZARAŃSKI
(siedzi zamyślony przy biurze; po chwili — podnosząc głowę).

Nadchodzi początek końca. W którą stronę spojrzę, przepaść! szukam ratunku, nie ma go. (po chwili wstaje i uderza ręką w biuro) Przecież niepowinienem zwątpić zupełnie, bo byłoby to tyle, co przyczynić się samemu do ostatecznej wygranej. Czy mnie już opuściły zwykła bystrość umysłu i znana przebiegłość? Nie, nie dam się. Zimnej krwi, rozwagi, zastanowienia. (tupiąc nogą) Chcę tego! (trze czoło, po chwili) Trzeba najpierwej rozważyć starannie wszystkie okoliczności. (siada koło stołu) Żurski oszukany, fraszka, niebawem umrze. Ba! ale nim umrze, może upomnieć się o pieniądze, jak to zresztą uczynił już nawet, a ja ich nie mam wszystkich, bo użyłem znaczną część na zapłacenie procentu Berskiemu i na wrócenie mu trochę pożyczonych przezemnie pieniędzy.

Lada dzień będę przymuszony oddać mu wszystko, bo naciera na mnie gwałtownie. Inni też upominają się, a ja oddać nie mogę nikomu. Kredytu nie mam. Z tej strony otchłań! Środek ratunku: dopomożenie Berskim do odziedziczenia majątku księcia — niepewny, stary ich nie lubi; ożenienie się z Emmą, za wielkie trudności do przełamania — matka, ona sama zdaje się mieć serce już zajęte! Nie, nie ma o czem myśleć! (obciera sobie twarz ze zwątpieniem). Straszno! Wszędzie czarno i ciemno! (wstając szybko). A tam do licha! znowu wątpię. Dziwnie osłabłem na duchu. Czy stracę odwagę w chwili ostatecznej? Po cóż więc wziąłem do siebie Mieczysława? to jedyny środek. Nie trzeba być dziecinnym i małodusznym! Wykonując stanowczo, bez wahania, plan raz powzięty, udowadnia się stałość, energję i hart duszy. Dalej, bez dłuższego namysłu. (idzie do kasy i otwiera ją)

SCENA II.

Szarański — Alfred.

ALFRED

(wchodzi drzwiami w głębi, podchodzi cichaczem do Szarańskiego).

SZARANSKI (otworzywszy kasę).

Szczęśliwa myśl...

ALFRED

(śmiejąc się, klepie Szarańskiego po ramieniu).

Skąpcze!

SZARAŃSKI (odwraca się z przerażeniem).

Co to? kto to? (przychodząc do siebie) A to ty Alfredzie; jak się masz Fredziu?

ALFRED.

Przestraszyłem cię, co? (śmieje się) Cha! cha! przewybornie! Szkaradny sknero, chciałeś nasycać się widokiem twego skarbu, a ja przeszkodziłem ci. (śmieje się) Doskonale! to mi się udało.

SZARAŃSKI.

Mylisz się, ja porządkowałem niektóre akta. Lecz co, będziemy mówili o interesach? Kupiłeś nareszcie taranta?

ALFRED.

I jakiego jeszcze, mój kochany! Idealny koń, powiadam tobie!

SZARAŃSKI.

Tem lepiej.

ALFRED.

Doskonale związany, na krótkich pęcinach, płuca jak miechy, wytrzymały jak żelazo, szybki jak błyskawica! Dwie mile angielskie za trzy minuty — próbowałem go; a jak ja powiem o koniu że dobry, to już można spuścić się na mój sąd.

SZARAŃSKI.

Wierzę. Masz zatem sprzęgniętą czwórkę.

ALFRED.

Pozazdroszczą mi jej.

SZARAŃSKI.

O! winszuję. Ale przyznaj się mój drogi, że ty nie szukałeś tego doskonałego taranta tak długo na to tylko, aby ci go zazdroszczono.

ALFRED (siadając).

Wprawdzie byłoby to już dostatecznem, ale tym razem rzeczywiście miałem i co innego jeszcze na myśli. Jacy wy wszyscy domyślni, to aż strach człowieka zbiera.

SZARAŃSKI (siada).

Ludzie rodzą się z różnemi przymiotami.

ALFRED.

Wielka prawda. Ja naprzykład jestem pierwszym żokiejem. W Anglji na rękach noszonoby mnie, ale w naszym nędznym kraju nie umieją poznać się na ludziach!

SZARAŃSKI.

Postaramy się o to, żeby ci oddano to, co się tobie należy; ale tymczasem mów dalej.

ALFRED.

Pamiętaj że to sekret! Tobie go tylko powierzam; papa nawet nic nie wie o tem. .

SZARAŃSKI.

Bądź bez obawy.

ALFRED (tryumfująco).

Wykradam pannę!...

SZARAŃSKI.

A przeklęty Don-Żuanie! Domyśliwałem się czegoś podobnego.

ALFRED.

Odgadłeś i to także? A przeklęta domyślność! ja nie pojmuję jak można być takim domyślnym; to nieprzyzwoicie w końcu. Może domyślasz się nawet, kogo wykradam?

SZARAŃSKI.

Czy nie pannę Amalję przypadkiem?

ALFRED (z zadowoleniem).

Mam cię przecież bratku; teraz ja górą! To mi się udało rzecz zręcznie pokierować, kiedy ty nic nie odgadujesz! Wykradam Helenę Klecką.

SZARAŃSKI (z zdziwieniem).

Aa!?

ALFRED.

Tak, tak. Wszystko jak najlepiej urządzone, paszporta są, pieniądze są, kareta doskonała jest, wyjeżdżamy moją doskonałą czwórką do trzeciej albo do czwartej stacji kolei, ztamtąd koleją dalej w świat. Prawda, że plan genjalny?

SZARAŃSKI.

Nie przeczę; a panna przystała?

ALFRED.

Tu właśnie sęk, ona o niczem nie wie.

SZARAŃSKI
(starając się swój śmiech powstrzymać).

Jakże będzie, mój biedny przyjacielu?

ALFRED.

Trzeba ci najpierwej wiedzieć, że dawniej, kiedy to starałem się o nią, ona jakkolwiek zakochana we mnie na zabój, wymagała odemnie jakichś dowodów mojej miłości. Papa kazał żebym się z nią żenił; cóż było robić? Ubijałem się za wynalezieniem dowodu i wtedy wpadłem na myśl wykradzenia. Nie jest że to myśl wielka, szczytna, czyn pełen poświęcenia? Bo któż dzisiaj panny wykrada?

SZARAŃSKI.

Bardzo słusznie.

ALFRED.

W tem ni ztąd ni z owąd papa nie każe mi już żenić się z Heleną; płaci Szpigla, daje mi jeszcze pieniądze w dodatku w dowód swego zadowolenia. Wyobraź sobie mój kłopot na tę wiadomość; bo tarant był już prawie kupiony; miałżebym go na darmo kupić? O, nie! Wykradam zawsze, co to mi szkodzi, nie na to już aby ją nazwać żoną ma się rozumieć, ale wykradam ją tak na figle. Chcę ją uszczęśliwić czas jakiś; ona biedaczka taka smutna!...

SZARAŃSKI.

Myśl bardzo litościwa!...

ALFRED.

Nieprawdaż? Przytem będę tak jechał, że napiszą o tem w „Sporcie“. Nie wiedząc jednak, jak ją nakłonić do tej ucieczki, przyszedłem do ciebie mój drogi, bo wiedziałem że mi dopomożesz.

SZARAŃSKI.

Ja?

ALFRED.

Nikt inny tylko ty! Jej brat służy u ciebie; musisz ją widywać; rozumiesz?

SZARAŃSKI (z roztargnieniem).

Doskonale! (na stronie) Może to opatrzność zsyła mi go.

ALFRED (z niepokojem).

Wahasz się?

SZARAŃSKI
(wstaje, i jak człowiek który stanowczą myśl powziął).

Wcale nie. Licz na moją pomoc. Ja wszystko ułożę; spuść się na mnie. Oznajmię ci czas, miejsce, ty tylko zajedziesz i porwiesz twą zdobycz.

ALFRED (wstaje i ściska go).

Mój najdroższy, serdecznie tobie dziękuję, bo przyznam ci się, że byłem w djabelnym ambarasie. Pannę wykraść to nie bagatela!

SZARAŃSKI.

Tylko nikomu nie wspominaj o twoim zamiarze.

ALFRED.

Za kogo ty mnie masz?

SZARAŃSKI.

Czekaj cierpliwie znaku odemnie.

ALFRED.

Tylko mój drogi nie zwlekaj bardzo, bo konie nie będą *kondiszen*, a wtedy jazda nie będzie świetna.

SZARAŃSKI.

Rozumiem to bardzo dobrze.

ALFRED.

Do widzenia mój zbawco. Idę czwórkę przekłusować, aby była *feet* na każde zawołanie. Bywaj zdrów. (wychodzi).

SCENA III.

(Szarański sam, później Mieczysław.)

SZARAŃSKI.

Teraz mogę śmiało działać. (idzie do kasy wyjmuje z niej różne pieniądze i papiery, które wkłada do swoich kieszeni, w końcu zostawia kasę przymkniętą, idzie do drzwi na prawo i woła otwierając je) Mieczysławie, proszę cię!

MIECZYSŁAW (za sceną).

Zaraz, zaraz. (wchodząc) Co każesz pryncypale?

SZARAŃSKI.

Cieszę się, że jesteś wesół dzisiaj; ta wesołość pozwala mi wnosić, że moje obawy były próżne. O tak, wierzaj mi, byłem już zupełnie zwątpił o tobie. Patrząc na ciebie codziennie od tygodnia, jak przy mnie bawisz i widząc twój wzrastający coraz smutek, sądziłem że nie wytrzymasz przy tej nudnej i mozolnej pracy.

MIECZYSŁAW.

Przyznaj, mój kochany, że jeżeli się nudzę to z własnej winy, bo ty nie obciążasz mnie pracą. Gdybym ja nie nalegał na ciebie, pozwoliłbyś mi zająć się czem bym tylko chciał.

SZARAŃSKI.

Przyznaję się, że dotąd nie napotkałem tak chciwego jak ty na kodeksa, akta, kontrakta, ekstrakta itd.

MIECZYSŁAW.

Ty nie wiesz jak to miło pracować dla tych, których się kocha!

SZARAŃSKI.

Mimo to przepraszam ciebie jednak Mieczysławie, że dziś zmieniam mój system, ale jestem przymuszony dać ci pracę.

MIECZYSŁAW.

Tem wdzięczniejszym ci będę...

SZARAŃSKI
(pokazując mu papiery leżące na biurze).

Oto są akta, przejrzyj je, proszę cię, i zbierz główne punkta mogące służyć ku obronie tej sprawy. Ja nie mam czasu zająć się tem, a powinno być gotowe do jutra.

MIECZYSŁAW.

Wszystko będzie w porządku. (zaczyna zbierać papiery).

SZARAŃSKI (niespokojnie).

Czemu zbierasz papiery?

MIECZYSŁAW.

Zabiorę je do siebie jak zwykle.

SZARAŃSKI (gorączkowo).

Nie! nie — zostań tu — będzie ci wygodniej... tu masz wszystko co ci potrzebnem być może pod ręką. Zwłaszcza że ja wychodzę...

MIECZYSŁAW (z uśmiechem).

Będę ciebie zatem najzupełniej zastępywał.

SZARAŃSKI (z przymusem).

Daję ci na to najobszerniejsze pełnomocnictwo, tak jestem pewny, że wszystko co uczynisz będzie dobre.

MIECZYSŁAW (siadając przed biurem).

Dziękuję za zaufanie; pamiętaj sobie winę przypisać jeśli go nadużyję Jak ja pięknie wyglądam w tym fotelu!

SZARAŃSKI (pospiesznie).

Przedziwnie! Do widzenia, mój kochany.

MIECZYSŁAW (żartobliwie, z udaną powagą).

Padam do nóg panu dobrodziejowi! (Szarański wychodzi).

SCENA IV.

Mieczysław sam.

MIECZYSŁAW
(przegląda czas jakiś papiery, po chwili opierając głowę o rękę).

Ha! straszne to moje życie! Nawet ten człowiek, najlepszy mój przyjaciel nie odgaduje, ile ja cierpię! Nieraz rozpacz mnie ogarnia i złorzeczę sobie, że byłem tak dumnym i gwałtownym. Dobrowolnie pozbyłem się szczęścia oglądania jej. Jaka ona była piękna z temi oczami pełnemi łez; ileż jej uroku dodawał ten smutek przebijający się w jej twarzy! Czy ona o mnie myślała płacząc? Ach! jestem szalony! (z goryczą). Gdzieżby tej świetnej pannie mógł się podobać nędzny nauczyciel! Boże! mój Boże! muszę ukrywać się z mojem uczuciem jak ze zbrodnią; wstydzę się samego siebie!... A przecież jaki wyborny temat do śmiechu mieliby ci przezacni państwo, gdyby się dowiedzieli o mojej miłości! Och! mrowię mnie przenika na samą myśl tylko! No! dalej do pracy, precz z marzeniami! Za marzenia nie płacą, a jeść trzeba. Pracuj, biedny marzycielu...

(czyta papiery i pisze od czasu do czasu).

SCENA V.

Mieczysław — Emma.

EMMA (na stronie).

On sam! nie spodziewałem się tego! Mój Boże jakże mnie straszno...

MIECZYSŁAW (nie odwraca głowy i pisząc).

Kto tam? Proszę siadać, zaraz będę służył.

EMMA (jak wyżej).

Przecież nic złego nie zamyślam; czyżby dobry uczynek miał nas tyle kosztować co i zły?

MIECZYSŁAW (jak wyżej).

Bardzo przepraszam ale mam pilną robotę.

EMMA (jak wyżej).

Siły mnie opuszczają. Gdyby spostrzeżono, że mnie nie ma. Och! (chce wyjść).

MIECZYSŁAW (wstając).

Jestem na rozkazy. (na stronie). Kobieta.

EMMA

(na pierwsze słowa Mieczysława zatrzymała się drżąca i nie odwraca się).

MIECZYSŁAW (idąc ku niej).

Przepraszam jeśli panią zniecierpliwiłem, ale musiałem koniecznie coś skończyć. Niech pani będzie łaskawa powiedzieć mi, czem jej służyć mogę?

EMMA (odwraca się i z ukłonem).

Ja...

MIECZYSŁAW.

Emma! Panna hrabianka Berska!

EMMA.

Tak, to ja jestem.

MIECZYSŁAW (zakłopotany).

Racz pani przebaczyć, jeżeli w mojem zadziwieniu...

EMMA (nieśmiało).

Ja... chciałam dowiedzieć się o Helence.

MIECZYSŁAW.

Bardzo pani dziękuję za pamięć. Moja siostra też wspominała panią nieraz.

EMMA (z radością).

Doprawdy? Ona o mnie nie zapomniała?

MIECZYSŁAW.

Niestety pani, znając panią zapomnieć o niej jest niemożliwością...

EMMA (z niepokojem).

Pan zdajesz się być niekontent z tego, że siostra pana pamiętała o mnie.

MIECZYSŁAW.

Och! nie pani; źle się wyraziłem zapewne. (z przymuszonym uśmiechem). Mając ciągle do czynienia z wyrazami prawnemi. zapomniałem jak się zdaje mowę ludzką...

EMMA.

Pan bardzo kochasz swoją siostrę?

MIECZYSŁAW.

Tylko drugą jeszcze osobę kocham równie silnie

EMMA (nieśmiało).

Matkę?

MIECZYSŁAW (po chwili walki wewnętrznej).

Tak jest pani, matkę.

EMMA (smutno).

Szczęśliwe! (po chwili). Uczyniłbyś pan dla nich wszystko?

MIECZYSŁAW.

Wszystko oprócz podłości.

EMMA (z godnością).

Czy w takim razie byłabym przyszła do pana?

MIECZYSŁAW (z radością).

Pani przyszłaś więc rozkazać mi coś?

EMMA (z wdziękiem).

Prosić, panie Mieczysławie...

MIECZYSŁAW (zapominając się).

Prośby pani są rozkazami dla mnie; to jest, chciałem powiedzieć, że mnie pani tylko rozkazywać możesz i powinnaś.

EMMA.

Dziwną wydam się może panu?

MIECZYSŁAW.

To niepodobna.

EMMA.

Dodajesz mi pan odwagi; to dobrze. Ufasz mnie pan, wierzysz pan w moją przyjaźń (prędko, z kłopotem) dla Helenki.

MIECZYSŁAW (z stłumionem westchnieniem)

Nie mam powodu wątpić o niej.

EMMA.

Pana oczerniono przed dziadziem...

MIECZYSŁAW.

Domyślam się.

EMMA.

Mógłbyś pan usprawiedliwić się ..

MIECZYSŁAW (z goryczą).

Poniżyć się, chcesz pani powiedzieć.

EMMA.

Pan mnie nie rozumiesz. Ja pana usprawiedliwię, tylko dopomóż mi pan.

MIECZYSŁAW.

Czy zasłużyłem na to, abyś pani zajmowała się mną?

EMMA.

Czynię to, ponieważ jestem silnie przekonaną o niewinności pańskiej, i z przywiązania dla Helenki.

MIECZYSŁAW (z uczuciem).

Dzięki ci pani za te wzniosłe uczucia! Jestem pewny, że dusza, która tak czuje, nie jest zdolną pobudzić do czegoś niegodnego. Rozkazuj zatem pani.

EMMA.

Jakże to dobrze, że pan mnie nie odpychasz. (stanowczo). Daj mi pan swoje manuskrypta.

MIECZYSŁAW (zdziwiony).

Moje manuskrypta?

EMMA.

Tak jest; ja wiem, że pan odmówiłeś już raz, ale tu idzie o szczęście siostry i matki, a w takim razie stałość może być grzechem. Dziaduniowi powiedziano, że pan opisałeś nas wszystkich w brzydki sposób w jakiejś powieści. O! ja temu nigdy nie wierzyłam. Pokażę mu pańskie pisma, dziadzio się przekona i wszystko dobrze będzie. Dawaj pan.

MIECZYSŁAW.

Któż księcia zapewni, że nie napisałem nic innego oprócz tego, co pani pokażesz?

EMMA.

Ja. Mnie pan przecież nie zwiedziesz?

MIECZYSŁAW.

Jeszcze słowo. Czy odmienisz pani sposób zapatrywania się księcia Modzerskiego czy nie, pozwól pani jednak podziękować sobie za to szlachetne zajęcie się biednymi. Więcej nie śmiem powiedzieć.

EMMA (rzewnie).

Będziesz pan wdzięczny?

MIECZYSŁAW (z zapałem).

Wdzięczność to tak mało! (z zapałem). Ja chciałbym świat cały poruszyć tem uczuciem, którem pani napełniłaś serce, i do nóg ci go rzucić; chciałbym, żeby ludzkość cała spiewała ciągle hymn na twoją cześć, pani!

EMMA (na pół żartem).

Przeceniasz pan moje zasługi. Ja ani na to nie zasługuję, ani tak wiele nie wymagam...

MIECZYSŁAW (drżąco).

Pani, śmieszne moje zapytanie, wiem o tem; ale wybacz szalonemu. Czy tylko z przyjaźni dla mojej siostry chcesz nam pani dopomódz?

EMMA (zmięszana).

Ja...

MIECZYSŁAW
(po chwili z uniesieniem biorąc Emmę za rękę i całując w nią).

Pani jesteś aniołem!

EMMA (wzruszona).

Mieczysławie!

MIECZYSŁAW.

Emmo! Niech ci Bóg zapłaci za tę chwilę rozkoszy!

EMMA (przychodząc do siebie).

Bywaj pan zdrów. (wyrywa rękę i po chwili z uczuciem i miłością). Do widzenia Mieczysławie! (chce wychodzić).

SCENA VI.

Mieczysław — Emma — Helena — Klęcka — Wrotnowski.

EMMA (odskakując na bok zmięszana).

Och!

WROTNOWSKI.

Przepraszam; może przeszkadzamy?

MIECZYSŁAW.

Co za myśl szkaradna!

EMMA (rzucając się w objęcia Heleny).

Helenko kochana!

KLECKA.

Synu mój, nie zapomnij nigdy, że (wskazuje Wrotnowskiego) ten oto człowiek wyświadczył ci wielkie dobrodziejstwo.

HELENA.

On zmył ciężącą na tobie plamę, którą obdarzyli cię ludzie niechętni; dowiódł jasno, że pamfleciarzem być nie umiesz, i że nikogo nie oczerniałeś, zostawując to nieszlachetne rzemiosło innym.

EMMA (bierze Wrotnowskiego za rękę).

Poczciwy doktorze!

WROTNOWSKI.

Poczciwy doktorze, a to co znaczy? Ej! ej! źle pono! (z udaną surowością). A panna Emma co tu porabia?

EMMA (zmięszana).

Ja... tak...

MIECZYSŁAW (wpadając).

Panna Emma była tyle łaskawą, że chciała dowiedzieć się o pomieszkaniu mojej siostry.

WRÓTNOWSKI (z ironią).

Doprawdy? Hm! A czy to stary doktor nie wiedział gdzie twoja siostra mieszka? Hm! hm!

EMMA (do Heleny półgłosem).

Helenko, ty mnie pojmujesz?

HELENA (z radością).

Czy być może?

KLECKA.

Moje dzieci, staliście się dla mnie zupełnie niezrozumiałemi.

WROTNOWSKI.

Ja ich rozumię doskonale, pani dobrodziejko. Nowa robota czeka biednego doktora i basta; dajcież bo mu już raz wytchnąć u kata! Aa! wyprowadziliście w pole starego lisa? czekajcie.

MIECZYSŁAW.

Nie gderaj stary.

WROTNOWSKI.

Święty zniecierpliwiłby się, a...

MIECZYSŁAW (przerywa).

Ot wolałbyś wytłumaczyć mi mój drogi doktorze...

WROTNOWSKI.

Jakim sposobem z czarnego jak djabeł, stałeś się nagle białym jak anioł?

HELENA

Nie gniewaj się na mnie Mieczysławie, proszę cię; ja o niczem nie wiedziałam!

KLECKA.

Przyjmuję winę na siebie.

MIECZYSŁAW (całując matkę w rękę).

Jeżeli ty kochana matko miałaś w tem udział, to już nie może być nic zdrożnego.

WROTNOWSKI.

Oto znając upor i dumę mego tu obecnego pacjenta, a chcąc go ratować pomimo jego woli, chwyciłem się bardzo niełàdnego środka. Szczęściem gdzieś tam powiedziano, że cel uświęca środki, bo inaczej byłbym się nigdy nie odważył, nawet z pomocą twojej matki, wykraść pannie Helenie twoje ohydne, szatańskie pisma.

MIECZYSŁAW (smutno patrząc na Emmę).

Och!

EMMA (smutno).

Uczyniłeś to doktorze?

WROTNOWSKI.

Cóż się wam znowu stało?

HELENA (do Mieczysława).

Gniewasz się?

MIECZYSŁAW.

Nie... ale...

EMMA (zadąsana).

Przy tobie doktorze nie można być nigdy dobrą; zawsze uprzedzasz wszystkich. Fe! Któż widział samemu wszystko robić! zawsze dziękować i tylko dziękować, sprzykrzy się nareszcie!...

KLECKA (z rozrzewnieniem).

Drogie dziecię!

WROTNOWSKI.

Najuniżeniej przepraszam, ale zwlekać nie mogłem, tem bardziej, że doprawdy zacząłem już powątpiewać o tem czy są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

EMMA (z wymówką).

Och!

WROTNOWSKI.

A tak, tak. Ja temu nie jestem winien; trzeba było wcześniej powiedzieć: „doktorze, ja pana Mieczysława...“

MIECZYSŁAW.

Zatrzymaj się!

HELENA.

Okrutnym jesteś, doktorze! Chodź Emmo, on nie wart widzieć ciebie. (usuwają się trochę w głąb).

WROTNOWSKI.

Już dobrze; milczę. Krótko mówiąc: książę przekonał się z twej bazgraniny, że nikogo nie opisałeś, i że to było albo podłe oszczerstwo albo wielka głupota, która zwykle gdy ujrzy namalowanego osła, krzyczy w niebogłosy, i tym sposobem odkrywa sama podobieństwo, o którem przedtem nikomu ani się śniło. Do czego to doprowadzić może wielkie wyobrażenie o sobie?

HELENA.

Jednem słowem, książę uznał twoją niewinność i chce cię wynagrodzić za doznaną niesprawiedliwość

MIECZYSŁAW.

Cieszę się z tego mocno, bo myśl, że ten szanowny i godny człowiek mógł myśleć, że chciano go obrazić — dręczyła mnie srodze. Teraz jestem spokojny. Jednakże niczego więcej nad przywiązanie przyjąć od niego nie możemy, bo cenimy za nadto spokój rodzinny, aby go zaburzać i mamy za nadto szacunku dla siebie samych, aby dopuścić, żeby nasze postępywanie wzbudzało choćby cień tylko posądzenia ubliżającego nam. Będziemy i nadal pracować jak dotąd.

HELENA.

Ja byłam tego samego zdania.

KLECKA.

Uszczęśliwiacie mnie, moje dzieci!

EMMA.

Ale dziadzio nigdy na to nie zezwoli!

WROTNOWSKI.

Czas wszystko okaże. Już ja mam mój plan, niepraw^ląż panno Emmo?

EMMA (grożąc Wrotnowskiemu palcem).

Doktorze!

SCENA VII.

Ciż sami — Szarański — Hrabia.

HRABIA (we drzwiach).

Nie uwierzysz, jak potrzebuję tych pieniędzy.

SZARAŃSKI.

O! jakie liczne zgromadzenie! (do hrabiego) Właśnie miałem zamiar odnieść ci dziś tę sumę.

HRABIA (na stronie).

Moja córka! (głośno) Co robisz tutaj Emmo?

WROTNOWSKI.

Panna Emma skarżyła się na migrenę; wziąłem ją więc na przechadzkę i ciesz się hrabio, uzdrowiłem twoją córkę.

HRABIA (zimno).

Nie wątpiłem nigdy o pańskiej umiejętności.

WROTNOWSKI.

Za wiele dla mnie zaszczytu.

SZARAŃSKI.

Przepraszam państwa, że nim zajmę się przyjęciem tylu miłych i niespodziewanych gości, załatwię mały interesik, który mam z hrabią Berskim. (idzie do kasy)

HRABIA (na stronie).

Ten doktor nie podoba mi się dzisiaj.

SZARAŃSKI
(spostrzegając kasę otwartą, z udanem zdziwieniem).

Co to jest? kasa otwarta! (odwracając głowę) Czy wychodziłeś ztąd Mieczysławie?

MIECZYSŁAW.

Nie wyszedłem za próg tego pokoju.

SZARAŃSKI
(otwiera kasę — po chwili z przerażeniem).

Próżna!

HRABIA (ze strachem).

Co?

WROTNOWSKI.

Co to znaczy?

SZARAŃSKI.

Cios okropny! zabójczy! I od kogo?... Ha! puszczajcie mnie! (chce odchodzić.)

MIECZYSŁAW (zatrzymując go).

Co się tobie stało?

SZARAŃSKI.

Uchodź nieszczęśliwy! Nie! puszczaj mnie — ja pójdę — ucieknę! Nic nie powiem, będę zniesławiony.... (pada na fotel zakrywając sobie twarz rękami) Och! święte uczucie przyjaźni!

HELENA.

Nie wiem dla czego drżę cała...

EMMA

I mnie słabo.

WROTNOWSKI.

Ale moje panie, mdłości nie przydadzą się na nic.

HRABIA (do Szarańskiego z trwogą).

Oddaj mi moje pieniądze!

MIECZYSŁAW.

Mój drogi, wytłumacz się, bo twoje dwuznaczne słowa obrażają mnie!

KLECKA.

Tak jest, wytłumacz się pan.

SZARAŃSKI (wstaje).

Mieczysławie! przyjacielu! Zaklinam cię, nie gub siebie, nie gub nas wszystkich!

MIECZYSŁAW (niecierpliwie).

Co mówisz?

KLECKA.

Czego ten człowiek chce od ciebie?

HRABIA.

Moje pieniądze!

SZARAŃSKI

(gorączkowo, robiąc Mieczysławowi różne znaki).

Sądziłeś zapewne widząc kasę otwartą, że pieniądze w niej zawarte nie są w dość pewnem schowaniu i schowałeś je gdzie indziej? Co? prawda?

MIECZYSŁAW (z oburzeniem).

Panie!

WROTNOWSKI (powstrzymując Mieczysława).

Panie Szarański, prosimy wszyscy o wytłumaczenie; wszyscy jesteśmy równie interesowani w tej sprawie. Chciej nam pan zatem bez zwlekania wyjaśnić tę zagadkę.

EMMA (na stronie).

Mój Boże!

HRABIA.

Ja chcę moich pieniędzy!

SZARAŃSKI.

On sam tego chciał! Słuchajcie więc.
(obciera sobie czoło chustką)

HELENA.

Bóg pana słucha!

SZARAŃSKI.

Słyszeliście państwo sami, jak on mówił, że nie wychodził z tego pokoju, i widzieliście że kasę zastałem otwartą i próżną! (słabnącym głosem) Czy jeszcze jaśniej potrzebuję mówić?

EMMA.

Och!

KLECKA.

Mój syn!

HELENA.

Okropne! pan nie zastanawiasz się nad tem, co mówisz!

HRABIA.

Natura wilka ciągnie do lasu.

WROTNOWSKI.

Panie hrabio, milczenie to złoto, mówią Arabowie...

MIECZYSŁAW
(który stał skamieniały, gwałtownie).

Bezwstydny człowieku! śmiesz rzucać na mnie takie straszne podejrzenie? Odpowiesz mi za to!

SZARAŃSKI (z pogardą).

W kryminale, mój panie! będę służył panu.

EMMA
(przerywa i padając ojcu do nóg, błagająco).

Ojcze!

KLECKA.

Ja temu człowiekowi nie wierzę, mój synu!

HELENA.

Przyznaj się pan, póki czas jeszcze, że popełniłeś nikczemną zbrodnię; bo prawda wyjdzie na jaw, ale wtedy będzie już za późno! Nie wzbudzisz pan w nikim politowania nawet, odrazę tylko wzniecać będziesz!

SZARAŃSKI.

Sąd postara się o dowody.

MIECZYSŁAW.

Złoczyńco! Zbrodniarzu! nie boisz ty się Boga! Jesteś już do tego stopnia wyzuty z sumienia, jesteś tak nikczemnym, że chcąc siebie ratować, nie wahasz się wtrącić w otchłań nieszczęścia i wstydu niewinnego! Jeżeli się nie upamiętasz, bądź przeklęty!

SZARAŃSKI.

Dosyć tych frazesów. (idzie do dzwonka stojącego na stole).

KLECKA (obejmując syna).

Mój synu, Bóg nie dopuści, aby niewinność pokrzywdzoną była!

HELENA
(bierze Mieczysława za rękę z drugiej strony).

Mieczysławie, my ciebie nie opuścimy. (do Szarańskiego z rozpaczą). Panie! zastanów się co czynisz!

SZARAŃSKI.

Moją powinność. (dzwoni).

WROTNOWSKI.

Ja także, mój panie, zrobię moją. (wychodzi).
(w drzwiach ukazuje się kilku ludzi).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

(Scena przedstawia ten sam widok co w pierwszym akcie).

SCENA I.

Książę — Wrotnowski.

KSIĄŻĘ (siedzi na fotelu).

Widzisz mój przyjacielu, jak ludziom ufać nie można. Jedno niemiłe przebudzenie więcej! Nie bierz tego, co mówię, za wymówkę; pomyliłeś się i koniec.

WROTNOWSKI (siedzi na kanapie).

Ale mój kochany, mówiłem ci już do znudzenia, że to niemożliwe!

KSIĄŻĘ (niecierpliwie).

Niemożliwe! niemożliwe, a przecież tak jest. Wierzaj mi, daj temu pokój; na nic ci się nie przyda cała twoja wymowa. Ot, wiesz co, nie mówmy lepiej o tem, bo wszystko burzy się we mnie na samą myśl, że taki wstyd spotkał moją rodzinę. Nie chcę nic słyszeć o nim; starając się usprawiedliwić go, rozjątrzacie mnie jeszcze bardziej. (po chwili w zamyśleniu). Biedna dziewczyna, lubiłem ją!

WROTNOWSKI.

Nie myślę cię dłużej przekonywać, ponieważ nie mam sam dotąd żadnego innego dowodu jego niewinności oprócz moralnego przekonania. Zmieńmy zatem rozmowę; ale dzisiaj jakiś dzień fatalny, bo same smutne wieści błąkają się po mieście. Przygnieciony temi zdarzeniami zapomniałem ci powiedzieć, że mnie Żurski przysłał do ciebie. Byłem u tego biedaka przed chwilą, zawezwano mnie na konsyljum. Biedny, ma się bardzo źle.

KSIĄŻĘ.

Żal mi go szczerze. Bardzo cierpi?

WROTNOWSKI.

O cierpi nieborak, ale niebawem będzie już koniec jego cierpieniom; on też to przeczuwa i chciałby coś zmienić w swoich ostatnich rozporządzeniach, prosi cię zatem, żebyś mu na chwilkę odesłał jego testament.

KSIĄŻĘ (zdziwiony).

Co? Wszakże odesłałem mu go już dawno!

WROTNOWSKI.

A ba!

KSIĄŻĘ.

Przed miesiącem podobno załączając list oddałem go Szarańskiemu, umocowanemu do tego własnoręcznym listem Żurskiego!

WROTNOWSKI (wstaje i z namysłem).

Szarańskiemu oddałeś testament?

KSIĄŻĘ.

Szarańskiemu.

WROTNOWSKI.

Pokazuje się, że pamięć opuszcza biednego Żurskiego. A zachowałeś ten list?

KSIĄŻĘ.

Ma się rozumieć.

WROTNOWSKI.

A to trzeba mu go odesłać, ażeby się przekonał, że testamentu u ciebie już nie ma.

KSIĄŻĘ (wstając).

Pójdę poszukać tej karteczki.

WROTNOWSKI.

Dobrze, idź; ja mu ją sam odniosę. Przyjdę do ciebie, jak tylko napiszę parę słów do kolegi z prożbą, aby mnie dziś zastąpił przy jednym chorym. (idzie do stołu i siada).

KSIĄŻĘ.

Do widzenia, czekam na ciebie. (do siebie). To dziwne przecież! (wychodzi na prawo).

SCENA II.

Wrotnowski sam.

WROTNOWSKI (wstaje).

Ho! ho! przeczuwam coś niedobrego, panie Szarański! Kto wie, czy pani hrabinie nie przebędzie niespodziewany sukurs w postaci listu. Zobaczymy! Że jej dotąd jeszcze nie ma?

SCENA III.

Wrotnowski — Hrabina.

WROTNOWSKI (na stronie).

A, otóż i ona.

HRABINA (kłaniając się).

Wuj zawezwał mnie do siebie, czy byłby nie zdrów?

WROTNOWSKI.

Przeciwnie, książę pan ma się dziś bardzo dobrze i nie posyłał nawet do pani hrabiny.

HRABINA.

Przecież...

WROTNOWSKI.

Pani hrabina uwzględniając moją chęć rozmówienia się z nią, raczy mi darować, że użyłem imienia księcia Modzerskiego...

HRABINA (dumnie).

Pan?

WROTNOWSKI.

Tak jest, ja. (pokazuje jej kanapę).

HRABINA (jak wyżej).

Zechcesz mi pan wytłumaczyć może to dziwne postępowanie?

WROTNOWSKI.

Nie omieszkam, jeżeli tylko pani hrabina raczy usiąść i wysłuchać mnie.

HRABINA (jak wyżej).

Słucham pana.

WROTNOWSKI.

Proszę pani hrabiny siadać, bo rzecz o której mam mówić, jest ważną i dość długą.

HRABINA (siada i niby żartem).

Panowie doktorowie są straszliwie nudni!...

WROTNOWSKI (kłania się z lekką ironią).

Jesteśmy tem nadzwyczaj zaszczyceni, że pani hrabina raczyła to zauważać... (siada na krześle obok hrabiny).

HRABINA (cierpko).

Sądzę, że nie życzyłeś pan sobie widzieć się ze mną na to tylko, aby mnie za tę drobnostkę podziękować.

WROTNOWSKI.

W istocie, i trafność myśli pani hrabiny wprawia mnie w nowe podziwienie i upewnia zarazem, że będę łatwo zrozumianym. Mieczysław Klecki jest uwięziony...

HRABINA.

Spodziewam się przecież, że nie chcesz pan żeby złodzieje, schwytani na uczynku, chodzili wolno!

WROTNOWSKI.

Niech mnie Bóg broni od takiej myśli szkodliwej społeczeństwu! Ale pan Klecki jest niewinny.

HRABINA (śmiejąc się).

Cha! cha! to doskonałe! Nie wystawiaj że się na śmieszność, doktorze! (śmieje się) Cha! cha! cha!

WROTNOWSKI (powstrzymując się).

Mimo ostrzeżenia, za które najpokorniej dziękuję, narażę się na to niebezpieczeństwo i będę się starał przekonać panią hrabinę...

HRABINA (niecierpliwie).

Szkoda czasu, doktorze!

WROTNOWSKI.

Nigdy nie szkoda czasu użytego na przyniesienie ulgi bliźniemu. Przekonałem się o tej prawdzie najmocniej w chwili, w której przez moje usilne staranie wybawiłem pewną nieszczęśliwą kobietę...

HRABINA (ze znudzeniem).

Od śmierci?

WROTNOWSKI.

Lepiej, bo od wstydu.

HRABINA (z ironją).

Aa! myślałam że pan jesteś tylko lekarzem!

WROTNOWSKI.

Ratując tę nieszczęśliwą, czyniłem zadość memu powołaniu. Cierpienia duszy są straszniejsze aniżeli cierpienia ciała, czemuż więc nie zasługiwałyby one na naszą uwagę? W życiu człowieka są chwile, rozstrzygające o całej jego przyszłości, mogące zgubić go bezpowrotnie, albo też zbawić; wtedy wahanie się jest zbrodnią; trzeba użyć wszelkich środków ratunku, jeżeli ratunek możliwy. (udając zapał) Jestem przypadkiem w posiadaniu tajemnicy strasznej, wykrycie której może sprowadzić na panią sprawiedliwy gniew męża, boleść niczem nieukojoną dzieci, poniżenie u świata; słowem wstyd wieczny!...

HRABINA (zmięszana wpadając).

Co mówisz doktorze?

WROTNOWSKI (spokojnie).

Widzę z radością, że mój sposób mówienia zajmuje panią hrabinę. Te myśli teraz wypowiedziane, są treścią słów wypowiedzianych tej nieszczęśliwej kobiecie, o której wspominałem przed chwilą.

HRABINA
(uspokojona ale przecież z niewiarą).

A, tak?

WROTNOWSKI.

Chcąc jej przeszkodzić w dokonaniu większej jeszcze zbrodni, którą popełnić chciała, zezwalając na zgubę najniewinniejszego człowieka, zagroziłem jej że wykryję przed mężem jej zbrodniczy stosunek...

HRABINA (ze strachem).

I byłbyś pan tę groźbę wykonał?

WROTNOWSKI (stanowczo).

Bez wahania.

HRABINA.

Nie zastanowiłeś się pan, na co ją narażałeś!

WROTNOWSKI.

Ona chciała zgubić mego niewinnego przyjaciela. Patrzeć na to obojętnie nie mogłem. Tem gorzej, a może i tem lepiej dla niej, że miała słabą stronę, z której ja skorzystać umiałem.

HRABINA (z wielkim niepokojem).

To straszne! Doktorze, nie czyń tego.

WROTNOWSKI.

I ona tak do mnie mówiła. Niech się pani hrabina jednak uspokoi, ta kobieta postąpiła tak jak chciałem. Ale dosyć o niej, wracam do rzeczywistego przedmiotu naszej rozmowy. Miałem więc zaszczyt powiedzieć pani hrabinie, że ten biedny Mieczysław....

HRABINA
(przerywa starając się być spokojną).

Jest-żeś pewny kochany doktorze, że on niewinny!

WROTNOWSKI.

Jak jestem pewny tego, że teraz żyję i mam zaszczyt rozmawiać z panią hrabiną.

HRABINA.

Ale przecież pozory....

WROTNOWSKI.

Pozory są przeciw niemu, to prawda; i tylko jeden człowiek może je usunąć. Tym człowiekiem jest pan Szarański.

HRABINA.

Szarański! Ależ uniewinniając pana Kleckiego, potępi siebie?

WROTNOWSKI (wstając)

Nie jestem pana Szarańskiego przyjacielem.

HRABINA (wstaje i niespokojnie).

Doktorze!

WROTNOWSKI.

Słucham panią.

HRABINA.

Ręczysz mi słowem uczciwego człowieka, że pan Klecki niewinny?

WROTNOWSKI.

Ręczę.

HRABINA (gorączkowo).

Przekonałeś mnie doktorze; znam pana zanadto dobrze, aby nie polegać na jego słowie. Wiem że pan lekkomyślnie nic nie mówisz i dla tego biorę w opiekę pana Kleckiego. Wierzę twemu słowu doktorze.

WROTNOWSKI.

Nie zawiedziesz się pani na niem, jeśli...

HRABINA (przerywa).

Użyję całej mojej wymowy, żeby Szarańskiego nakłonić; nie wiem tylko, czy zdołam.

WROTNOWSKI.

O! jeżeli pani szczerze zajmiesz się tą sprawą, to nie wątpię o powodzeniu. (znacząco). Pani musisz go nakłonić! Ta nieszczęśliwa kobieta tak samo mówiła, a przecież...

HRABINA (przerywa z pomięszaniem).

Dobrze, już dobrze!

WROTNOWSKI.

Przed odejściem mam jeszcze prosić panią hrabinę o przebaczenie

HRABINA.

Mnie?

WROTNOWSKI

Będąc pewnym jej zezwolenia, zawezwałem tu już pana Szarańskiego w imieniu pani hrabiny; nie będziesz zatem pani potrzebowała posyłać po niego. Postąpiłem tak śmiało dlatego, że nie mamy czasu do stracenia. Cała ta rzecz musi załatwić się natychmiast.

HRABINA (z roztargnieniem).

Dobrze zrobiłeś doktorze, przebaczam ci.

WROTNOWSKI.

Żegnam panią.

HRABINA.

Bądź cierpliwym doktorze.

WROTNOWSKI (na stronie).

Jakżebym teraz kogoś wybił, aby wynagrodzić sobie ten przymus! (wychodzi do księcia).

SCENA IV.

Hrabina — Szarański.

SZARAŃSKI.

Pani życzyłaś sobie widzieć się ze mną?

HRABINA (wstając).

A, przyszedłeś już? Tak jest, chciałam widzieć cię... zapytać się ciebie... (na stronie) Mój Boże! co ja mam mówić? co robić? głowa moja płonie.

SZARAŃSKI.

Ten niezwykły rumieniec na twarzy, ten stan gorączkowy, ten nieład w mowie: to wszystko zadziwia mnie i zastrasza oraz. Co się stało?

HRABINA

(zebrawszy całą swoją odwagę, składając przed nim ręce).

Klecki jest niewinny! on musi być niewinny!

SZARAŃSKI (zimno).

Nie rozumiem.

HRABINA (błagająco).

Karolu! zmiłuj się nademną — nie gub mnie, nie gub siebie! Rób co chcesz, ale on musi być niewinny!

SZARAŃSKI.

Dziwi mnie to wstawianie się za złoczyńcą.

HRABINA

(przybliża się do niego przerażona, i oglądając się).

Pst! nie mów tego; mogą nas słyszeć...

SZARANSKI.

Nie mam potrzeby taić się z tem.

HRABINA (pada na kanapę).

Och! jak mu wytłumaczyć?... Słuchaj!... Wrotnowski wie wszystko, on wie o naszym stosunku, chce wszystko memu mężowi wykryć, jeżeli nie uznasz Kleckiego za niewinnego. Widzisz zatem, na jakie niebezpieczeństwo narażoną jestem... Och! broń mnie — ratuj!

SZARAŃSKI (groźno).

Pani mnie obrażasz. Jakżebym śmiał, pytam się, stanąć tu, przed panią, gdybym był niewinnego człowieka do więzienia wtrącił?

HRABINA.

Tego wyrzutu obawiałam się najbardziej. Och! — ja wiem, daruj mi; nie posądzam cię, ale zważ tylko moje straszne położenie. Ja sobie poradzić nie umiem... nie wiem jak wybrnąć.

SZARAŃSKI.

Uspokój się pani, przeczuwałem to i postarałem się o to, aby pan Klecki sam nas i siebie z tej niemiłej sytuacji wydostał. Jestem spokojny, on przeniesie, nie wątpię, śmierć nad wstyd, a wtedy....

HRABINA (przerywa przerażona).

Co mówisz?

SZARĄŃSKI (szyderczo).

Za chwilę, mam nadzieję, nie będziesz pani potrzebowała obawiać się pana Wrotnowskiego.

SCENA V.

Hrabina — Szarański — Wrotnowski.

WROTNOWSKI (staje we drzwiach).

HRABINA (z trwogą).

Nie rozumiem pana.

SZARAŃSKI

Pan Klecki jest winny (znacząco) i winnym umrze. A teraz pozwól mi pani odejść. (chce wychodzić)

HRABINA (na stronie z boleścią).

To upokarzające!

WROTNOWSKI (zastępuje Szarańskiemu drogę).

Za pozwoleniem; proszę na chwileczkę pana dobrodzieja.

SZARAŃSKI.

Nie jestem słaby, doktora nie potrzebuję.

HRABINA (odwraca się trwożnie).

Och! doktorze!

WROTNOWSKI.

Upraszam panią hrabinę o spokojność. (do Szarańskiego) Czasem człowiek jest słaby mimo swojej wiedzy.

SZARAŃSKI.

Przestrzegam pana, że nie jestem w usposobieniu żartowania.

WROTNOWSKI.

Ja też wcale żartować nie myślę; przekonasz się pan za chwilę. Racz pan usiąść, ja lubię siedząc rozmawiać.

SZARAŃSKI.

Nie mam czasu na długie rozmowy; pozwól pan zatem, żebym stał.

WROTNOWSKI (siadając).

Czyń pan jak chcesz; nie mam prawa narzucać panu mojej woli, ale zobaczysz pan, że nogi pana zabolą. (wyjmując list z kieszeni) Proszę pana tu do mnie.

HRABINA (na stronie).

Zmysły mnie odstępują!

SZARAŃSKI.

Jak widzę, pan chcesz zabawić się moim kosztem, ale uprzedzam pana powtórnie, że na to nigdy nie zezwolę.

WROTNOWSKI.

Nie unoś się pan, to nie zdrowo, wierz pan lekarzowi, zresztą mam tem większe prawo do uspokajania pana, ponieważ wiem, że niezadługo będziesz pan całej swojej zimnej krwi potrzebował. Przypatrz się pan tej karteczce; świstek papieru, nic więcej, przecież ten świstek może człowieka na szubienicę zaprowadzić...

HRABINA (wstaje).

Och! Boże!

WROTNOWSKI.

Znasz pan to pismo?

SZARAŃSKI

(zbliża się niespokojny, patrzy na list i po chwili bardzo zmięszany).

Nie, nie znam. (usiłując śmiać się). Prawdziwie, ta indagacja zaczyna być bardzo zabawna!

(pada prawie bezprzytomnie na krzesło).

WROTNOWSKI.

A widzisz łaskawco że usiadłeś; ja wiedziałem, że pana nogi zabolą. Prawda, że siedząc rozmawia się daleko lepiej?

HRABINA.

Co to jest doktorze?

WROTNOWSKI.

Bagatelka! Pomyliłem się, stare oczy nie dowidzą; trzeba będzie zanieść ten niewinny liścik, tam gdzie mają lepsze oczy odemnie...

SZARAŃSKI (zrywa się z przerażeniem).

Co pan mówisz?

WROTNOWSKI.

Jaki pan niespokojny, nie możesz chwileczki wytrzymać na miejscu.

SZARAŃSKI (niespokojnie).

Ale ten list?

WROTNOWSKI.

Co ten list?

SZARAŃSKI (szukając, potem prędko).

To był żart tylko.

HRABINA.

Doktorze, ulituj się nademną.

WROTNOWSKI.

A więc pan wiesz coś przecież o tem? Zechciej mnie zatem objaśnić, mój dobrodzieju.

SZARAŃSKI (stara się być lekkim i wesołym).

Wiesz kochany doktorze, że przyjaciele pozwalają sobie nawzajem wiele; to co w innym razie byłoby zbrodnią, jest dla nich niewinną krotochwilą. (obciera sobie czoło).

WROTNOWSKI.

Piękna mi krotochwila, fałszować cudze pismo!

HRABINA (ze zgrozą).

Co słyszę?

WROTNOWSKI.

Prawdę pani hrabino. (do Szarańskiego). Przyznam się panu, że takiego przyjaciela ja miałbym za łotra. Niech to pana jednakże nie obraża, bo ja mogę mieć zastarzały sposób zapatrywania się na rzeczy. Teraz uczciwość inaczej pojmują.

SZARAŃSKI (jąkając się).

Ja chciałem Żurskiego wypróbować, zabawić, nastraszyć i napisałem ten list do księcia, ale nie korzystałem z tego.

HRABINA (oddechając).

Och!

WROTNOWSKI.

Doprawdy?

SZARAŃSKI.

W istocie. W kilka dni później Żurski posłał do księcia po swój testament, nie otrzymał go, przestraszył się nie mało, a ja wtedy oddałem mu zgubę. Naśmieliśmy się do rozpuku. (śmieje się).

WROTNOWSRI.

Kiedy rzeczy tak się mają, to mogę panu ten list oddać. (podaje mu list).

HRABINA (z radością).

Ach!

SZARAŃSKI (sięgając po list).

Dziękuję.

WROTNOWSKI (odciągając list).

Racz mi pan dobrodziej wytłumaczyć tylko pierwej, dla czego pan Żurski nie podziela teraz pańskiej wesołości?

SZARAŃSKI.

Człowiek słaby...

WROTNOWSKI (wstaje i z oburzeniem).

Eh! dosyć mój panie tej obłudy, tego szalbierstwa! Och! nie zżymaj się pan; tak jest. dosyć tego szalbierstwa! Słuchałem pana aż nadto cierpliwie, teraz na pana kolej mnie słuchać. Pan mając w rękach cały majątek Żurskiego i chcąc używać go bezkarnie jakby swoją własność, wpadłeś na ten szatański pomysł; sfałszowałeś pan pismo Żurskiego na to, aby wyłudzić od księcia testament, wiedząc bardzo dobrze że Żurski lada dzień umrze, że ja do niego nie chodzę, bo pan postarałeś się o to, i że przeto testament zniszczywszy będziesz pan mógł spokojnie trwonić cudze pieniądze! Czy to nie jest podłość?! Nikczemne oszustwo?

HRABINA.

To okropne!

WROTNOWSKI.

Dowód tego niecnego postępowania jest w moim ręku. Żurski dotąd o niczem nie wie.

SZARAŃSKI (z trwogą).

Nie gub mnie pan.

HRABINA (zakrywając sobie twarz).

Och! zgrozo! fałszerz! Przyznał się.

WROTNOWSKI.

Ratuj pan niewinnie posądzonego przez pana.

SZARAŃSKI.

Co mam czynić?

WROTNOWSKI (idąc do stołu).

Oto jest papier, pióro, atrament, siadaj pan i pisz akt niewinności Mieczysława Kleckiego. Pisz pan, że on tej kradzieży nie popełnił i że dla tego upraszasz, aby go natychmiast uwolniono.

SZARAŃSKI.

Ależ panie to dekret na mnie!

WROTNOWSKI.

Jeden więcej nie zaciąży panu zbytecznie.

SZARAŃSKI.

To będzie nic nie znaczące, nie formalne.

WROTNOWSKI.

Proszę na to nie zważać.

SZARAŃSKI.

Ale...

WROTNOWSKI (przerywa).

Pisz pan do licha! bo teraz ja czasu nie mam, lecz pójdę wykonać moją powinność.

SZARAŃSKI.

Będę pisał. (siada i na stronie). Wszystko przepadło. Już tylko jeden środek ratunku zostaje. Trzeba zyskać na czasie.

WROTNOWSKI.

Nad czem pan myślisz? Przecież pan umiesz pisać?

SZARAŃSKI (pisząc).

Zaraz.

HRABINA (na stronie z rozpaczą).

To mnie zabije!

SZARAŃSKI (podając Wrotnowskiemu papier).

Oto jest żądane pismo.

WROTNOWSKI (czytając).

Dobrze, bardzo dobrze, wprawne pióro. Co za styl, co za jasność! (składa papier i chowa go do kieszeni). Dziękuję panu. Pani hrabina pójdzie może teraz do księcia?

HRABINA

(z pogardą przechodząc koło Szarańskiego).

Podły! (wchodzi do księcia).

SZARAŃSKI

(zatrzymując wychodzącego Wrotnowskiego).

A mój list?

WROTNOWSKI.

Zostanie u mnie, bo może przydać mi się jeszcze na co. (odchodzi).

SCENA VI.

Szarański sam — później Alfred.

SZARAŃSKI

Przepadłem! Gdzie Alfred? A, prawda, jest pewnie u mnie. (chce wychodzić i w drzwiach spotyka się z Alfredem). To ty? dobrze, że przyszedłeś.

ALFRED.

No i cóż? omal że nie umrę z niecierpliwości.

SZARAŃSKI (tajemniczo).

Wszystko gotowe. Za dwie godziny, na rogu tej ulicy od ogrodu.

ALFRED.

Za dwie godziny: Goon!

SZARAŃSKI

Cicho na Boga! Nie trzeba żeby nas słyszano. Konie w dobrym stanie?

ALFRED.

W doskonałym. Zjedzą djabła, jeżeli nas dogonią; *pcec* będzie szatański.

SZARAŃSKI.

Do widzenia; nie, żegnam ciebie raczej, bo ona sama przyjdzie. Nie zapomnij za dwie godziny, róg ulicy od ogrodu.

SCENA VII.

Ciż sami — Klecka — Helena.

(zaczyna się zmierzchać).

SZARAŃSKI
(spostrzegając je, usuwa się szybko w głąb, na stronie).

Źle, nie mogę go tu zostawić.

ALFRED (do Kleckiej)

Nie spodziewałem się widzieć dzisiaj pani, ale kiedy okoliczności tak mi sprzyjają, nie mogę pominąć ich, żeby pani nie wyrazić całego mojego uszanowania i nie prosić ją o pobłażliwość dla szczęśliwych. Zobaczysz pani, że panna Helena będzie szczęśliwą!

SZARAŃSKI (półgłosem do Alfreda).

Alfredzie.

KLECKA.

Wybacz pan strapionej matce, jeżeli nie umie odpowiedzieć na tak łaskawe słowa.

ALFRED (uradowany).

Och! pani!

SCENA VIII.

Ciż sami — Hrabina — Książę.

(Służący z świecznikiem poprzedza hrabinę i księcia o kilkanaście kroków).

SZARAŃSKI (półgłosem).

Nadchodzą.

ALFRED (półgłosem).

Uciekajmy! (do Szarańskiego półgłosem). Stara uradowana z tego. (wychodzą).

SCENA IX.

Ciż sami oprócz Alfreda i Szarańskiego.

(Służący postawiwszy świecznik na stole, wychodzi).

KLECKA (do córki).

Drżę cała.

HELENA.

Odwagi mamo, chwila stanowcza się zbliża.

KSIĄŻĘ

(oparty na ramieniu hrabiny ze spuszczoną głową).

Przewrotność tego świata jest wielką...

HRABINA (spostrzegając Helenę i Klecką).

Ach! kochany wuju, tutaj jest ktoś.

KSIĄŻĘ (podnosząc głowę).

Kto taki? Co widzę! (z powstrzymaną złością). Czego panie życzycie sobie? Nie mam zaszczytu znać pań!

KLECKA.

Błagam mości książę...

KSIĄŻĘ (przerywa).

Rozumiem, zaraz, zaraz...
(sięga do kieszeni i wyjmuje pugilares).

HELENA (powstrzymując łzy).

Och! zatrzymaj się mości książę! Nie bądź nielitościwym i nie upokarzaj więcej już i tak dość nieszczęśliwych! My nie przyszłyśmy książę po jałmużnę, ale przyszłyśmy błagać cię o opiekę.

KSIĄŻĘ (surowo).

Moja opieka należy się tylko zasługującym na nią.

KLECKA (rozpaczliwie).

Mości książę, racz wstawić się za moim synem.

KSIĄŻĘ (jak wyżej).

Nie mam nic wspólnego z zbrodniarzami.

KLECKA.

Och!

HELENA.

Mości książę, nim się człowieka potępi, słucha się jego usprawiedliwienia. Jeżeli mój brat winien, niech pokutuje; ja pierwsza wymagałabym tego — ale jeżli on niewinny? Mamże przyjąć bez szemrania wyrok potępiający go? Nie powinnamże starać się wszelkiemi siłami o przysporzenie mu środków do obrony?

KSIĄŻĘ (łagodniej).

Cóż ja poradzić mogę?

HELENA.

Jeżeli książę raczysz wysłuchać Mieczysława, to mu uwierzysz; on przed tobą panie wypowie wszystko szczerze, jak przed ojcem, jak przed Bogiem! Wtedy zbawisz go, mości książę, poświadczając jego niewinność. Wdanie się księcia Modzerskiego w całą tę nieszczęśliwą sprawę dopomoże znacznie memu bratu. My nie mamy żadnych dowodów jego niewinności, wszyscy nas opuścili; do kogoż udamy się jeżeli nie do tego, który darzył nas swemi łaskami, który nie na to przecież raczył sobie przypomnieć krewnych, aby ich w niebezpieczeństwie opuścił!...

KSIĄŻĘ (z gorzkim wyrzutem).

Wypłaciliście się mnie dobrze, przynosząc hańbę rodzinie! Nie — co uczyniłbym może przez miłosierdzie dla obcego, nie zrobię dla krewnego, bo rumieniec wstydu paliłby mi lica każdym razem, kiedy wstawiałbym się za nim. Nie pani, to być nie może. Pozostańmy nadal obcymi dla siebie.

(siada przy stole).

KLECKA.

Pani hrabino, masz także syna, jesteś matką, pojmujesz zatem pani rozpacz matki. Och! zaklinam ciebie pani! wstaw się za nim; miłość macierzyńska natchnie cię! Czyż ja śmiałabym stawać przed państwem, gdybym nie była w głębi mojej duszy przekonaną o niewinności mego syna?

HRABINA (nięco zakłopotana).

Moja pani, ja nie mam tego przekonania...

KLECKA.

Boże, nie opuszczaj tych ludzi!

HELENA.

Chodźmy matko. Poniżać się więcej byłoby niegodnem nas i Mieczysława. Rozpacz, która przepełnia teraz nasze serca, mogłaby nam źle poradzić. O! mości książę, jest sprawiedliwość na świecie, ale nie życzę ci, żebyś poznał kiedy, jaką krzywdę wyrządzasz nam nieszczęśliwym! (obcierając łzy). Chodźmy matko!

SCENA X.

Ciż sami — Hrabia — Emma.

EMMA (biegnąc do nich).

Helenko! pani! wy tutaj? płaczecie? co się stało?

HRABIA (na stronie).

Nie poznaję tej dziewczyny.

HELENA.

Puść nas Emmo!

HRABINA.

Emmo!

KLECKA.

Droga Emmo, może ty potrafisz uprosić twego dziada o opiekę dla Mieczysława.

EMMA (gorączkowo).

Opieka dziadunia może go zbawić?

HELENA.

Wielką pomocą może mu być przynajmniej, reszty niewinność dokona.

EMMA.

Spróbuję; czekajcie! (po chwili walki wewnętrznej pada na kolana przed księciem i namiętnie). Dziadziu, ja go kocham!

KSIĄŻĘ.

Kogo?

HRABINA (z przerażeniem).

Emmo, opamiętaj się!

HRABIA (z gniewem).

Co mówisz, szalone dziecko?

EMMA.

Kocham Mieczysława nad wszelki wyraz, jego nieszczęście jest moją śmiercią! On niewinny! Ja to czuję, jestem pewna tego! Kochany dziadziu, ulituj się nad cierpieniami twojej wnuczki!

KSIĄŻĘ (surowo).

Wstań aspanna; dosyć tego. Pięknie państwo wychowaliście córkę. Winszuję.

HRABINA (z pomięszaniem).

Ja nie wiem co się jej stało. Emmo litość ciebie unosi.

EMMA.

Nie, mamo, to nie litość, ale szczera, gorąca miłość.

HRABIA (gwałtownie, chcąc ją podnieść).

Emmo bój się mego gniewu!

EMMA (trzymając się kolan księcia).

Ojcze, twój gniew nie zastraszy mnie już; zapóźno przybywa. Dziadziu nie wysłuchasz mnie?

SŁUŻĄCY (przynosząc list)

Przyniesiono ten list dla pani Kleckiej.

KLECKA (odbierając list).

Dla mnie? (patrząc na adres) od mego syna!

(Służący wychodzi).

EMMA (wstaje i biegnie do Kleckiej).

Od niego?

HELENA.

Od Mieczysława?

KLECKA (czyta, po chwili opuszczając list).

Och! mój Boże! mój syn! (pada w objęcia Heleny).

HELENA (przerażona).

Co to jest mamo?

EMMA.

Droga pani!... (pomaga Helenie do posadzenia Kleckiej na kanapie).

HRABINA.

Tym podobni ludzie mają niezwykłą zdolność do aktorstwa.

EMMA (podejmuje list i czyta).

„Najukochańsza matko. Dziękuję ci z głębi serca za po-„żądany dar twój. Ty zrozumiałaś matko, że wolę umrzeć, „aniżeli żyć zhańbiony; sercem matki odgadłaś życzenia „twego syna. Za chwilę ten pistolet dowiedzie twojej cnoty, „bo umieć w czas śmierć zadać, jest dobrodziejstwem, na „które tylko wzniosłe dusze zdobyć się mogą... Za chwilę „będę szczęśliwym... Żegnam cię, droga matko. O przebaczenie „nie proszę, bo twój podarunek świadczy najlepiej, że twoją „wolę wypełniam. Drogą Helenkę przyciskam do serca. Matko, „pożegnaj ją!“ (pada zemdlona). Ach!

HELENA
(która słuchała z natężoną uwagą, zrywając się).

Mieczysław! (widocznie słabnie i opiera się o poręcz kanapy).

HRABIA (biegnąc do córki).

Moje dziecię! (sadza ją na krześle i cuci ją wraz z żoną).

KSIĄŻĘ.

Straszna srogość losu!

KLECKA (wstaje).

Ratujcie go, jeszcze czas! Ja nie chcę, żeby on umarł — ja mu nie posyłałam... Och! chodź moja córko, ty tu zostać nie możesz, oni ciebie zabiliby także.

HELENA (usiłuje postąpić, ale nie może, słabo).

Zaraz mamo, tylko siły... Och! Boże! wspomóż mnie.

KLECKA

Helenko! dziecię moje, odwagi. On tam może już... Och! prędzej! prędzej!

HELENA.

Nie, nie, on żyje. (robi nadzwyczajne wytężenie, idzie za matką). Chodźmy matko. (Helena i Klecka chcą wychodzić).

SCENA XI.

· Ciż sami — Wrotnowski — Mieczysław.

KLECKA (poznaje syna i pada w jego objęcia).

Mój syn!

HELENA (zawisając na jego ramieniu).

Mieczysław!

MIECZYSŁAW.

Drogie moje, uspokójcie się.

WROTNOWSKI.

Był wielki czas żebym nadszedł; pistolet miał już wypalić, miałem tylko tyle czasu, że podniosłem laską broń w górę i strzał ugodził w sufit zamiast w tę szaloną głowę. A! panna Emma zemdlała. (chce ją cucić).

HRABINA (zimno).

To nic, zawrót głowy.

KSIĄŻĘ.

Więc on?...

WROTNOWSKI.

Niewinny.

KSIĄŻĘ (z radością).

Chwała Bogu! Mój Mieczysławie, cieszy mnie to niewymownie! Darujcie mi moją surowość, moją niesprawiedliwość; wierzajcie mi, nie postępowałem tak niegodziwie z przekonania. (patrząc z pogardą na hrabstwo). Źli ludzie popsuli mnie. Odtąd, będąc z wami, nie obawiam się więcej być złym.

MIECZYSŁAW (całując go w rękę).

Szanowny panie!

HELENA.

Och! mości książe nie myśl, żebyśmy śmieli oskarzać cię!

KLECKA (ściskając Mieczysława.)

Mój syn żyje!

EMMA (przychodząc do siebie).

Gdzie on? Mieczysław?

WROTNOWSKI.

Jest tu.

EMMA.

Gdzie? On żyje! (wstaje i spostrzega Mieczysława). Ach! (biegnie do niego).

MIECZYSŁAW (cofając się).

Panno Emmo...

KSIĄŻĘ.

Eh! uściskajcie się moje dzieci! Rodzice zezwalają na wasz związek, a ja daję Emmie w posagu połowę mego majątku.

MIECZYSŁAW.

Mości książe, tyle dobroci...

EMMA (całując księcia w rękę)

Kochany dziadziu! (podając Mieczysławowi ręce). Już nas nie rozłączą.

MIECZYSŁAW (całując Emmę w rękę).

Nigdy!

KSIĄŻĘ.

Ponieważ zaś niechcę mieć już kłopotu i intryg w moim domu, drugę połowę majątku daję Helence i przenoszę się do niej na mieszkanie.

WROTNOWSKI.

Brawo!

HELENA.

O! mości książę!

KLECKA.

Nadmiar szczęścia.

WROTNOWSKI.

Ale państwo nie wiecie zapewne, że pan Alfred zabawiając się w uwodziciela wykradł Szarańskiego, myśląc że wykradł pannę Helenę.

HRABINA.

Co?

WROTNOWSKI.

Niech się pani hrabina uspokoi, daleko nie ujadą, bo dowiedziałem się o tem dość wcześnie jeszcze od samego szczęśliwego uwodziciela.

HRABIA (na stronie).

Małżeństwo Alfreda przepadło.

WROTNOWSKI.

Jednakowoż tą wycieczka nie będzie bez nieszczęśliwych skutków, bo panu Żurskiemu na wiadomość o ucieczce Szarańskiego i o swojej zupełnej ruinie majątkowej pękła żyła sercowa.

HRABINA.

Mój brat umarł?

HRABIA (z rozpaczą na stronie)

Jestem zrujnowany!

(Zasłona spada).

KONIEC.

W DRUKARNI E. WINIARZA.